

ODRODZENIE

TYGODNIK

Rok II

Kraków, dnia 7 października 1945 r.

Nr. 45

JERZY ANDRZEJEWSKI

Propozycje teraźniejszości

I.

Nigdy nie sądziłem, aby w czasach, które przeżywamy, piękno dzieła literackiego wspierać się mogło na bezinteresownym artyzmie. Dzisiaj, po doświadczeniach lat ostatnich i ciągle w obliczu zachwiania podstaw życia i człowieka tym silniej jestem przekonany, iż do niezbędnych atrybutów literackiego piękna naszych czasów na równi z artystem należy porządek poznania i wartościującej hierarchii. Jak jest powiedziane i co jest powiedziane są wobec klasyfikacji piękna nierozdzielne i służące jednemu celowi. Ani samo jak nie stworzy pełnego dzieła sztuki, ani co, choćby najcenniejszą miarą wartości odmierzone, nie wywoła przekonującej i trwałej wizji. Nie te zatem truizmy mogą dla pisarza obecnej chwili stanowić problematykę nagłą. Czasy szaleństwa i nienawiści dość wymownie przekonały ludzi pióra, iż słowa ich, podobnie jak czynny ludzi czynu, przydatne być muszą odbudowie, służąc jej nie rezygnacją twórczą i pomniejszaniem praw artysty, lecz przeciwnie — wypełniając wzór piękna, które jest wartością moralną, a więc społeczną.

W ciągu minionych lat sześciu dane zostało rodzajowi ludzkiemu doświadczenie zbyt okrutne, aby człowiek, już przed wojną zagubiony i do zniknięcia skłonny, nie utracił wiary z nadważonego człowieczeństwa. Nie trzeba się ludzi! Wychodzimy z wojennej katastrofy odarci z wielu prawd i z ranami, które nie zasklepią się łatwo, ani prędko. Nawet za osiągnięcia płaciliśmy gorzką cenę mądrości, egoizmu lub strachu. Jesteśmy ułomni i okaleczeni, skrzywieni w nas mnóstwo, a iluż z nas nosi w sobie schorzenia, które albo wcale nie dostrzegamy, albo w zaślepieniu wcale za choroby nie uważamy? Nie uratowaliśmy najbliższych — poginęli. Nie zachowaliśmy naszych miast i wsi — zniszczeniu uległa praca pokoleń i piękno i mądrość wieków. Zatruciliśmy wiele wiar, nadziei, pragnień i zawołań. Dla wielu przycmiło się wieczne niebo, a pod wszystkimi zadrzała śmiertelna ziemia. Jeśli więc wśród tylu nieodwracalnych спустoszeń uratowaliśmy tylko nagie życie, nie jest to dość wiele, aby po najstraszliwszej z wojen, jaką w obronie wolności ludzkość podjęła, nie odczuwać nagłej konieczności oparcia u podstaw zagrożonego porządku życia o takie wartości, które by istnieniu jednostek i społeczeństw sens, godność oraz trwałość zapewniły. W tej ogólnoludzkiej potrzebie pojęcie piękna szczególniejszego napiera blasku. Niosąc bowiem na wyrównanych szalach czystość sztuki i sprawiedliwość moralnego osądu, stać się może piękno jedną z miar świata i człowieka, oczyszczającym obrazem klęsk i nadziei, zdrad i powołania.

Przed świadomym odpowiedzialności pisarzem staje pytanie: jeśli moralny osąd wznosi się w strukturze piękna, na czym wesprzeć samo wartościowanie, w jakich norm i zasad je wywodzić, czemu wreszcie podporządkować miarę człowieka, jego czynów i myśli? Sumieniu swemu, czy doktrynie? Prawdzie wewnętrznej, czy rozpoznaniu, które obiektywizm wartościowania normuje stałością i społeczną sprawdzalnością zasad?

II.

Żyjemy w czasach, które sprzyjają pragnieniu pewności i wiary. Współczesny człowiek zna kruchość samotności i łatwe złudzenia samotnych odkryć i objawień. Nie znajduje też w sobie dość sił i sankcji dość wymownych, aby poprzez własną słabość i niepewność wymierzać sprawiedliwość chaosowi świata. Człowiek dwóch wojen i okresu, który krążył się pomiędzy nimi, czuje się na tyle zagubiony, iż nie panowania już pragnie lecz ratunku.

Każdy z nas na swój sposób i na swoją miarę przeżył ciążącą nad nami sugestię własnej odrębności. Cierpienia ponizonych i zbrodnie gwałcicieli przekonali jednak wymownie, iż nie ma poważniejszych powodów do chępliwego mitologizowania niekomunikatywności człowieka z człowiekiem. Przeciwnie, poznaliśmy smak braterstwa i smaku wierności. Oba uczucia, choć tak odmienne, zakładają solidarność ludzi. Pomiedzy mną i towarzyszem a także pomiędzy mną i wrogiem nie widzę mroków samotności. Stoimy na wprost siebie przyjaźni lub nieprzejednani i znamy się, nawet przedzieleni ostrzem barykad. Gubiąc tyle

i niszcząc, jedno ocalała ostatnia wojna: wyrwała człowieka z samotności pojętej, jako z istoty życia wynikająca zasada.

Skłonni do szukania smaków i upodobań w odrębności zjawisk, teraz pragniemy raczej odnajdywać w sprawach ludzkich i czynach znamiona powszechności. Nie zapominając o różnicach, chętnie przecież oddajemy pierwszeństwo podobieństwu. Stworzona przez nas samych płynność rzeczy tego świata, zdradziła nas dotkliwiej, aniżeli mogliśmy byli sądzić wówczas, gdy nieprzeniknione ludzkie cienie odbywały interesujące podróże wśród ciemnych przestrzeni mroków własnych i mroków stworzenia. Potworność lat ostatnich ugruntowała w wymęczonych ludziach potrzebę ładu i dyscypliny. Trzebaż było aż tak ostatecznego podeptania norm i praw, aby w umysłach odnowił się wzór porządku?

Koszmar na noc jest zaledwie za nami. Jej cień jeszcze pada na nas. Nie odrzucimy go prędko. Być może do końca życia będzie nam towarzyszyć. Pamięć byłaby wówczas ostrzeżeniem. Na razie, pełne jeszcze oczy mając obrazów hańby, trudniej jest nam oderwać się od przeszłości niż przyszłości choćby najbliższą przeniknąć. Więcej na zdeptanych ziemiach Europy tęsknot, aniżeli świadomych dążeń. Stoimy u początku dnia, który zdążając w przyszłość może zawrzeć w sobie wszystko: zagładę, lub trwałe przymierze ludów; nędzę ostateczną, albo tryumf porządku.

III.

Wojna, która przeszła, toczyła się o wolność. Wśród najsakrajniejszych gwałtów rysować się począł w wielu umysłach nowy wzór narodowych stosunków i społecznej sprawiedliwości. Zrozumiano także, że człowiek zgubi świat, jeśli nie zdoła odbudować skruszonej moralności. Ale wygrana o wolność wojna, nie jest jeszcze trwałym wolności zwycięstwem. Łatwiej wygrać najtrudniejszą wojnę, niż najłatwiejszy pokój. Ten zaś, na który czeka ludzkość, jakże jest od łatwości daleki! Wydaje się chwilami, iż nie starczy ramion, aby udźwignąć jego ciężar.

Walka o demokrację nie została zakończona. To stare, tylekroć nadużyte pojęcie porządku czeka dopiero, aby ożyło nową i konkretną treścią. Na razie ideały ludzkości są chwiejne i często sprzeczne. Błada epokom, które jednymi słowami używają w różnych znaczeniach! Od inaczey pojmowanych słów zapalają się stosy i pod sztandarami tych samych pojęć rozdzielają się ludzie na zacieklých wrogów.

Wiele przyczyn skłania do niepokoju o los wolności i demokracji. Ale najdotkliwsza bodaj jest myśl o ludziach, którzy wolność mają ugruntować, a duchem demokracji przesycać normy życia. Z kogoż bowiem wydzwignąć się ma przyszłość, jeśli nie z żyjących?

Tymczasem ponad cierpienia, które w ciągu minionych lat były udziałem ludzkości, nawet ponad krew i cierpienia dotkliwymi wydają się спустoszenia serc i umysłów tych, którzy wszystko przetrwali i życie zdołali ocalić. Nędza ludzka i małość dotkliwiej przynębiają aniżeli śmierć. Jeśli bowiem nie w naszym udziale leży możność odwracania śmierci, przeciwnie — miara człowieczeństwa i walka o jego wielkość, lub zgoda na spódnienie wydają się złożone nie gdzie indziej jak w nas samych. Tyle więc tylko wartości przejdzie w powstające normy życia, ile zdoła ich z siebie wydobyć stojący na skraju wolności człowiek. Dla pisarstwa zatem, które swemu wzorowi piękna udziela atrybutów poznania i moralnej klasyfikacji, naczelną wiernością pięknu staje się odbudowa człowieczeństwa. Nie ma niezmiennych wzorów piękna. Z pewnością za lat pięćdziesiąt lub sto wyniknie z historii inny ideał sztuki piśmienniczej. Dzisiaj jednak, gdy los postawił artystę na skrzyżowaniu losów zachowanego świata, niepodobna pisarzowi inaczej zachować godność niż sięgając po taki ideał piękna, który by niósł w sobie siły odnowienia i oczyszczenia. W przeciwnym wypadku ludzie pióra zdradziłiby co więcej niż własne powołanie; zaparlby się godności człowieka.

IV.

Nie wydaje się, aby obok katolicyzmu i materializmu dziejowego istniał w chwili obecnej inny światopogląd o równie silnie rozbudowanych i ugruntowanych metodach poznawczych. Te dwie uniwersalistyczne dok-

tryny wyczerpują na razie wysiłek umysłu ludzkiego, zdążający w kierunku wszechstronnego uporządkowania rzeczywistości. Stąd też większość współczesnych intelektualistów albo dokonuje wyboru pomiędzy Kościołem i marksizmem, albo, nie mogąc zdobyć się na wybór pełny i ostateczny, krąży dokoła jednego z dwóch światopoglądów, względnie skłania się naprzemiennie ku obydwom. Trudno stwierdzić, kogo jest więcej: wyznawców, czy mówiac językiem liturgii, katechumenów? Natomiast wydaje się nieomal rzeczą pewną, iż znaczny procent spośród katechumenów rekrutuje się właśnie z intelektualistów, ludzi pióra. Wnioskując z dramatycznego napięcia historii, mniamać by można, iż lata, które przeżywamy, rodzić powinny gwałtowników i ludzi gorących. Na naszych oczach przetaczają się czasy wyboru i wierności. Większość jednak ludzi potwierdza tę oczywistość pragnieniami tylko. Natomiast ani wyboru dokonać nie może, ani ludzkiej potrzeby wierności skierować nie ma ku czemu.

W latach wtłoczonych pomiędzy dwle wojny, ta sama chwiejność była udziałem licznych intelektualistów. Wielu z nich ciążyło wyraźnie w stronę rzymskiego Kościoła. W niepokoju tych lat czuło się zbliżającą katastrofę. Byliśmy wobec niej bezradni. Żyliśmy wśród strzępów prawa. Przecież już wtedy toczyła się europejska, niewypowiedziana wprawdzie, lecz gwałtowna wojna. Faszyzm umacniał swoje pozycje. Przysępował do ofensywy. Przygotowywał się do panowania nad światem. Był wszędzie. Gwałt i niewola poczęły coraz śmielej podnosić łby. Kto dojrzywał w tych czasach, zna i zapamięta ich gorzki smak. Po przeciwniej stronie barikady nie zawsze dość wyraźnie zdawano sobie sprawę z niebezpieczeństwa. A gdy je dostrzegano, nie czyniono nic, aby mu zapobiec. Po jednej stronie była brutalna siła, po drugiej bezradność. I gdy chwiały się podstawy życia, człowiek zatracił się i gubił, a na horyzontach rysowały się już groźne widma faszystowskich armat i bombowców. Kościół począł się wycofywać wielu intelektualistom jedynym obrońcą człowieka i życia. W swoich najlepszych wyznawcach bronił wolności osoby ludzkiej i uprawnień ducha. Na zło mówił: zło, na dobro: dobro. Ugruntowywał nadzieję.

Nie wszyscy jednak ówczesni „katechumeni” zdawali sobie dość jasno sprawę, iż miłość ich do Kościoła jest miłością, która zabija. Szukając w katolicyzmie moralnego oparcia i umocnienia, znajdowali je rzeczywiście. Lecz pozostając w gruncie rzeczy laikami, ani Kościółowi nie mogli ofiarować się całkowicie, ani od Kościoła otrzymać łask, które są fundamentem religii. Wytworzyła się paradoksalna sekta intelektualnych przyjaciół Kościoła. Czy istotnie przyjaciół? Któż obitniej niż oni, laicy, krążący dokoła kościelnych murów, w wątpliwość podaje nadprzyrodzone źródło Kościoła, objawienie i dogmaty? Któż wyraźniej stwierdza przydatność nauki moralnej, wynikającej z Ewangelii i z pism Ojców i Doktorów Kościoła, a kruchość metafizycznych tej nauki perspektyw? Dokazali tego, co, zdaje się, leży w rozwoju historycznym każdej wielkiej religii: zaniedbując nadprzyrodzoną strukturę katolicyzmu wzięli z niego moralne natchnienie, religię zmienili w system, objawienie zastąpili pragmatycznym myśleniem. Pozbawieni wiary, zabijali tym samym niezmienną i fundamentalną mistyczność Kościoła, źródło jego sakramentów i łask, a katolicką moralność jednostki i społeczeństwa odarli z nadprzyrodzonych sankcji sądu ostatecznego. Jeśli więc w owym czasie ludzie ci na miarę swojej słabości i niepokoju z najlepszą wolą służyli obronie człowieka, w stosunku do Kościoła spełniali rolę podobną nieco do tej, która była niegdyś udziałem odyssowego konia w murach Troi. Nie zdaje się, aby dla dawnych a także obecnych „katechumenów” istniała poważniejsza możliwość wstąpienia w mury Kościoła. Ludzkość nie po raz pierwszy przeżywa bolesne zamieranie bogów. Nie jest ulgą nie móc ujrzeć nieba, które wówczas, gdy malował je po bożni fra Angelico, było niebem życia. Tym niemniej równaloby się tchórzystwu, gdyby rozporządzając tylko utylitarnymi racjami chciało się sztucznie ożywić wygasłą wiarę. Historyczna era religii chrześcijańskiej kona na naszych oczach. Agonia jej może trwać długo, umiera przecież wielkość. I z pewnością przez wiele jeszcze wieków będzie ludzkość

sięgać po bogactwa myśli i kultury chrześcijańskiej. Bogowie i dogmaty prędzej zapadają się w mrok niż dzieła, które człowiek wznosi ku ich czci. Olimp opustoszał przed wielu wiekami, lecz duch Aten i Rzymu ciągle w nas żyje. Sądzić też można, że blask chrześcijaństwa towarzyszyć będzie ludzkości o wiele dłużej niż litery soborów.

V.

Na krótko przed wojną sądzili niektórzy intelektualisci, iż nie jest niemożliwością nawiązanie myślowego przymierza pomiędzy katolicyzmem i materializmem dziejowym. Szukali nawet — zwłaszcza na Zachodzie — sformułowań, które by temu przymierzowi dały świadectwo. Były to złudzenia. Jedyne, co istotnie łączyło i nadal łączy oba światopoglądy, to walka z faszyzmem. Nie należy jednak wyprowadzać zbyt daleko sięgających wniosków z koleżeństwa broni. Katolik i marksista, walczący w jednym szeregu Czerwonej Hiszpanii, mogli pozostać towarzyszami nie dłużej niż w okopach i w obliczu wspólnego wroga. Gdy rozeszli się do domów i jeden z nich znalazł się w kościele, a drugi na zebraniu partyjnym, braterstwo broni musiało ustąpić wobec całkowitej i zasadniczej odmienności światopoglądów.

Również w obecnej wojnie, w więzieniach, w obozach i na polach bitew ginęli ramie przy ramieniu katolicy i komuniści. Dzisiaj jednak, gdy nastał pokój, jedni i drudzy wycofują się na własne pozycje. Mogą z sobą rozmawiać. Znajdą niekiedy wspólne punkty. Ale ani najlepsza wola, ani najsztubtelniejsze chwytły myślowe nie wyrównają różnic pomiędzy Bogiem, który jest źródłem porządku, i historią stwarzaną wysiłkiem ludzkich rąk i umysłów. Przepaść jest głęboka. Tylko heretycy i odstępcy mogliby na jej dnie znaleźć złudną iluzję mglistego porozumienia. Katolicyzm jest religią objawioną, materializm dziejowy — metodą poznawczą, która dla wszystkich form istnienia ludzkiego znajduje wyjaśnienie w procesach historycznych. Kościół odwołuje się do istoty nadrzędnej, metafizycznej; marksizm — do dziejowych przemian społeczno-ekonomicznych. Pierwszy sięga poza życie i tam wyznacza rozwiązania ostateczne, drugi ogranicza się do zjawisk obiektywnie sprawdzalnych. Bóg stwarzający człowieka i człowiek stwarzający Boga, oto dwa krańce ludzkiego stosunku do świata.

VI.

Materializm dziejowy jest światopoglądem młodym. Jest metodą poznawczą o ambicjach uniwersalnych. Gdyby dotychczasowy jego rozwój przyrównać do przemian chrześcijaństwa w pierwszych wiekach, trzeba by przypuścić, iż obecna tradycja marksizmu nie sięga głębiej wstecz niż lata pierwszych uczniów i apostołów. Na drodze materializmu dziejowego nie stanęli jeszcze ludzie, którzy byliby odpowiednikiem wielkich Doktorów Kościoła. Gdy patrzy się dzisiaj na niebywały rozwój chrześcijaństwa w pierwszych wiekach, zapomina się na ogół o rozlicznych możliwościach i przeróżnych drogach, które się przed młodą religią otwierały. Atanazy, który ostatecznie ugruntował tak zachwiany dogmat Trójcy Świętej, i Augustyn, walczący z Pelagiuszem o nadrzędność woli boskiej nad ludzką, wiedzieli dobrze, jak łatwo historia Kościoła i świata potoczyć się może różnymi nurtami. Trzeba było aż trzynastu wieków, aby Tomasz z Akwinu uzgodnił „Summami” wysiłki i sprzeczności stuleci.

Dzisiaj rozwój myśli ludzkiej nieporównanie szybciej postępuje niż wówczas. Jeśli jednak można sądzić, że przed filozofią materializmu dziejowego otwierają się perspektywy znacznego rozwoju, trudno dokładnie przewidzieć, kiedy i w jakim kierunku przemiany podążą. Być może, będą powoli przesuwane punkt ciężkości z systemu filozoficznego na kryteria poznawcze metody, przekształcając tym samym dogmatyczną doktrynę na styl myślenia porządkujący ogólnoludzkie normy i pojęcia. Gdyby istotnie w tym kierunku kierować się począł wysiłek myślicieli materializmu, można by oczekiwać, iż ludzkość znajdzie podstawy, na których wnieść by się mogła trwałe (na ludzką oczywistość miarę) struktura porządku społecznego i moralnego.

Świat obecny gubi się wśród mglistych i różnorodnych pojęć. Jak zatem wartościować czyni, gdy pojęcia, które im służą, wyobrażają odmienne treści? Popadliśmy w taki zamęt, iż w najprostszych nieraz sprawach człowiek nie może się porozumieć z drugim człowiekiem. Jak myśleć o odbudowie moralnej, gdy zbrodnia jest raz zbrodnią, a w innym wypadku bohaterstwem?

Na razie nie wydaje się, aby w kształcie obecnym posiadał materializm dziejowy wszechstronne racje do pełnego przyjęcia go za podstawę wartościowania. Natomiast można w nim znaleźć normy i pojęcia, które pozwalają osądzać sferę zjawisk obiektywnie sprawdzalnych. Społeczny osąd, a zatem i społeczna moralność mogą się na nim wesprzeć. To dużo. I tylko niekontrolowanie nawyków myślowych, zła wola, nagromadzenia przeróżnych uprzedzeń i urazów od obyczajowych począwszy na politycznych kończąc, ślepotą wreszcie i egoizm klasowy nie doceniać mogą lub zaprzeczać wysokiej hierarchii społecznej moralności wspartej o materializm. Ta moralność, walcząc o sprawiedliwość społecznego porządku, walczy tym samym o godność ludzkiej osoby. Wartość czynu ocenia wartością obiektywnych skutków, a wartościom myśli udziela sankcji społecznej odpowiedzialności.

Podobne powierzenie wartościującego osądu obiektywnym, społecznym normom wydaje się w tej chwili jedynym, historycznie konsekwentnym opanowaniem zamętu moralnych zasad. Ci spośród współczesnych, którzy w imię racji metafizycznych odmawiają nurtowi historycznemu możliwości niezawisłego tworzenia form życia zbiorowego i indywidualnego, skłonni są przypyszczać, iż osąd materializmu, mając na uwadze tylko społeczną zbiorowość — jednostkę podporządkowuje ogółowi tak dalece, iż człowiek staje się na koniec wartością nie większą niż pojedyncza cyfra w ogólnym rozrachunku. Taka tendencja niewątpliwie w materializmie dziejowym istnieje. Byłoby jednak i przedwczesnym i ryzykownym zakładać, że jest to skaza i in radice. Z norm materializmu nie wynika konieczność zagubienia jednostki w tłumie. Przeciwnie, doświadczenie lat ostatnich, wojennych i poprzedzających ją, wyraźnie odcina materializmowi jego niepokojące skłonności ku ilości, z pewnością w swoim czasie spowodowane gwałtownością i nieodłącznym sfanatyzowaniem pierwszych okresów rewolucji. Nie należałoby sądzić, iż pisarze w rodzaju Szolochowa czy Malraux poniżają osobowość człowieka. Nie, nie ma tu powodów do zbyt pośpiesznych niepokojów i nieufności. Moralność społecznych pojęć materializmu wyrzuca człowieka z chaosu i przywraca porządkowi. Jest wiele danych, aby ludzie poczęli mówić wspólnym językiem i pojęcia dobra i zła odzyskały w Europie wartość jednoznaczną.

VII.

Uzyskanie podstaw, uprawniających do moralnej klasyfikacji ludzkich czynów rozwiązuje problem wartości na płaszczyźnie społecznej. Natomiast w sferze artystycznej nie wyczerpuje całokształtu zagadnienia poznawczego. Podmiotem filozofii materialistycznej jest historia w ruchu, w ciągłym nawarstwianiu się i wzajemnym przenikaniu procesów społeczno-ekonomicznych. Artysta natomiast wykracza poza te konieczne dla porządku życia zbiorowego granice. Pragnąc ujrzyć ludzi w ich czynach dąży również do statycznego utrwalenia poszczególnych momentów zmiennego nieustannie życia. Tym samym wewnętrzne życie człowieka, wyrażane w myślach i w intencjach, staje się dla artysty na równi z ludzkimi czynami podmiotem poznania i wartościującego osądu. Manifestując w ten sposób inność poznania, które współdziałać ma przy tworzeniu piękna, nie musi artysta wyodrębnić sztuki z porządku społecznego i uciekać się do kruchych wierzeń w jej autonomiczną niezależność. Społeczna wymowa piękna niezachwianie spoczywa w jego osądzie moralnym. Ten zaś, jeśli ogarnąć ma całą osobowość człowieka, uzupełnia tylko i wzbogaca jednostronność społecznego wartościowania. Nie ma takiego zespołu faktów, które uprawniając do kwalifikacji społecznej wypowiedzieć by mogły jednocześnie całkowitą prawdę o człowieku. Ponieważ odpowiedzialność za czyn jest fundamentem porządku moralnego, całość prawdy o człowieku nie jest ważna przy rozpatrywaniu odpowiedniego zespołu faktów. Jest nią natomiast dla pisarza. Jeśli bowiem wewnętrzne przeżycia jednostki nie mają znaczenia dla osądu społecznego, mówią przecież przejmująco o nędzy i wielkości ludzkiej, zarówno sobą, jak czynami świadcząc o całej osobowości człowieka.

Dla tych zatem artystów, którzy nie sądzą, aby wartościowanie moralne ograniczać się miało wyłącznie do zewnętrznych przejawów życia człowieka, pojęcia materializmu dziejowego przestają w pewnym momencie wystarczać. Jeśli stoi się na stanowisku, iż przesłanki historyczne nie są w stanie bez reszty wyjaśnić natury człowieka; dalej, że życie wewnętrzne jednostki posiada żadnym dotychczas doświadczeniem niezbadane elementy nieprzewidywane i w danym układzie jedyne; że wreszcie wszelkie nasze poznanie jest niepełne i zarówno istota życia ludzkiego jak istota natury pozostają niewiadome — wówczas zasadnicza niemożność podobnych zastrzeżeń w stosunku do poznawczej metody

materializmu dziejowego wyklucza możliwość znalezienia w niej w tym zakresie moralnych kryteriów.

Jakkolwiek się zakwalifikuje społeczny wydzźwięk duchowego życia określonej jednostki, bez względu na obiektywną ocenę moralną, sam fakt wewnętrznych konfliktów człowieka, pragnień jego i poruszeń pozostaje faktem rzeczywistym i pisarz, który chciałby mówić o człowieku prawdę, nie może ograniczyć się do tzw. powierzchni zjawisk. Nie może się też w imię społecznej litery pozbawić prawa do litości i wielkoduszności. Jeśli bowiem dobro społeczne ma mu być celem, a piękno środkiem odbudowy porządku, powinien mieć otwarte oczy i serce na nędzę człowieka, pogardę i nienawiść zachowując dla zła, a właśnie litość i jeśli zdoła — nawet miłość dla tego, który zło popełnia. Czyniąc w ten sposób wyłom w usztywnionej zasadzie obiektywnej oceny moralnej, w osądzaniu zjawisk

JULIUSZ KYDRYŃSKI

Westerplatte — Oksywie — Hel

Zwolna przesuwają się linie blasku i morze natychmiast zmienia barwę. Teraz już ołowiane-szare fale biją o brzeg długimi językami piany. Na horyzoncie smugi czarnego dymu znaczą szlak statków przemierzających zatokę. Bliżej, rzadka suną kutry i motorówki kołują się na krótkiej fali. Życie morza jest dłuższe niż tryumf jego konkwestatorów. Wrak bojowego pancernika „Schleswig-Holstein” niedaleko stąd rozkłada się jak trup, niepotrzebny nikomu. A sześć lat temu z pokładu tego okrętu padła przeraźliwa salwa, rozpoczynająca największą w dziejach wojny morsko-lądowej.

Nie tylko Westerplatte, lecz cały Gdańsk jest dzisiaj kupą gruzów. „Westerplatte brenni” — tryumfalnie głosiły — wówczas zresztą przedwczesne i obliczone na zdemoralizowanie obrońców — komunikaty niemieckie w pierwszych dniach września 1939. „Gdańsk płonie” — stwierdzały sprawozdania połączonej armii słowiańskich sześć lat później. Ogromniszyszczenia jest wstrząsający i wobec ruin Gdańska mała pociechę stanowią cmentarzyska hitlerowskich czołgów i szczątki aut pancernych rozrzucone po okolicy. Ten ponury krajobraz, nad którym dziś jeszcze trwa technicznie śmierć, nie przesłania jednak zjawisk rodzącego się, nowego życia. Obydwa te pierwiastki łączą w sobie słowo, które na zawsze pozostanie symbolem, nazwa tak bardzo blisko stąd położonego terenu: Westerplatte.

Słynny czerwony mur, jakim otoczono rejon Wojskowej Składnicy Tranzytowej, stworzonej na Westerplatte przez Polskę na podstawie uchwały Rady Ligi Narodów oraz umów polsko-gdańskich w latach 1921—1923, — dziś nie istnieje. Ale w Gdańsku nie ma już także Foerstera, ani przychylnego mu Wysokiego Komisarza Ligi Narodów, hr. Graviny, ani oddziałów Hilfspolizei, ani wreszcie dywizji SS „Danziger Heimwehr”. Dlatego mur jest już niepotrzebny, można o nim zapomnieć. Nie wolno jednak zapomnieć gdańskiej sprawy sprzed lat sześciu i roli, jaką ów mur odegrał wówczas, gdy jedna kompania bohaterów przez długich 7 dni i nocy broniła z góry straconej pozycji.

Polska placówka na Westerplatte, szykanawana przez niemieckiego komisarza z Nowego Portu i przez sztab szpiclów, nie korzystając z prawa eksterytorialności, dlatego też samoloty niemieckie mogły odbywać nad nią swobodne przeloty. Przeloty te były częste i „sportowe” samoloty gdańskie dokonywały licznych zdjęć zniechęcających terenu. Mimo to udało się Polakom umocnić na tyle, że Foerster nie mógł w dniu 1. IX. 1939 ofiarować Hitlerowi Gdańska wraz z „oczyszczoną” strefą nadbrzeżną. Hitler musiał czekać, podczas gdy polscy obrońcy dziesiątkowali mu najlepsze kompanie. Czytelnik „Dziennika Bojowego Żołęgi Westerplatte” zrozumie łatwo, z jakim poświeceniem prowadzono tę walkę. Polacy rozporządzali jednym działem polowym 74 mm, dwoma działkami pancernymi 37 mm, czterema moździerzami 81 mm i dwudziestoma ręcznymi i ciężkimi karabinami maszynowymi. Przeciwko nim szły armaty niemieckiego pancernika, lądowa ciężka i najcięższa artyleria i bombowce nurkowe „Stukas”. Gdy połowa Polaków walczyła bez hełmów stalowych,

tylko pod kątem ich znaczenia społecznego, podjęta by została przez pisarstwo najgłębsza w sensie ludzkim tradycja chrześcijańska: etyczna ocena intencji; walk wewnętrznych, samotnych wzniesień i upadków, miara pełnej osobowości człowieka w jego wielkości i nędzy i w jego tragizmie.

Nie ma czasów na tyle trudnych, aby w imię obrony człowieka trzeba go było pisarstwem aż zdradzać. Przeciwnie, im groźniej rysują się fundamenty świata i im zaciętsza toczy się walka, tym pełniejszą miarą zrozumienia i miłości nasycić się powinno piękno sztuki. Tu się jednak urywa więź łącząca artystę z normami społecznej oceny. Nie istnieje poza chrześcijaństwem taki zespół pojęć, który by pozwalał obiektywnie wartościować niezwiązane z czynem przeżycia człowieka. Kto nie chce, lub nie czuje się w prawie sięgnąć po uprawnień wywołujące wizję sądu ostatecznego, ten dla moralnego osądu przeżyć człowieka

znajdzie podstawy tylko w sobie, w czułości swego umysłu i serca. Nasuwa się tu słowo: samotność. Tak, samotność, jeśli nie ma ona oznaczać osamotnienia. To bowiem zamiast łączyć ludzi — rozdziela ich, zamiast przybliża pomiędzy nimi lub wrogości — niesie jednostkom poczucie beznadziejnego zamknięcia w kręgu własnych doznań i przeżyć. Tę zaś samotność, która wydaje się najtrudniejszą i ostateczną miarą pisarza, pojąć by należało w takim sensie, w jakim zarysowuje się przed nami artysta całe swoje doświadczenie, mądrość i solidarność z normami społecznego porządku skierowujący w najcięższym momencie ku temu, by samemu, bez pomocy z zewnątrz i bez świadectwa obiektywnych norm wprowadzać w mroki człowieka ład i porządek. Walcząc wówczas o los ludzki, stwarza piękno na miarę swego człowieczeństwa.

Jerzy Andrzejewski

z rejonu Gdańska szturmowały świetnie wyposażone oddziały SS.

Chcąc w tych warunkach utrzymać stanowiska dłużej niż w ciągu dwunastu godzin (takie było zadanie stawiane obronie Westerplatte), potrzeba było naprawdę żelaznej wytrwałości i pogardy śmierci. Wykazali ją wszyscy uczestnicy obrony. Widok ginących towarzyszy, rannych, wśród których były wypadki gangreny, nie potrafił załamać ich tak samo, jak nie osłabił ich brak ciepłej strawy. Zimne konserwy, smalec i woda — oto pożywienie westerplatczyków w dniach walki. Każda próba ugotowania jedzenia ściągająca natychmiast wzmożony ogień niemiecki. Nie było również mowy o spaniu.

Mimo to Niemcy nie mogą sforsować Westerplatte, a dowódca kompanii szturmowej, Henningsen, ginie w pierwszych dniach walk. Nie pomagają podstępny. Hitlerowcy próbowali dwa razy podpalić las, otaczający teren i ogniem wypędzić obrońców z umocnień. Za każdym razem polskie pociski wykrywały cysterny z benzyną, doprowadzane pod krawędź zarośli. Benzyna płonęła w cysternach. Mogło się здаwać, że nie ma siły, która by potrafiła zmusić dowódcę Westerplatte do kapitulacji. Gdy dnia 7 września przerwano walkę, stało się to przede wszystkim z uwagi na ogólną sytuację na frontach w głębi kraju i absolutny brak możliwości niesienia pomocy rannym.

Ze względu na położenie uniemożliwiające strategiczne rozwinięcie obrony i dowód jakichkolwiek posiłków, los Westerplatte przesądzony był z góry. Jeżeli załoga walczyła do ostatka nawet wówczas, gdy wiadano już ogólnie o ucieczce członków sanacyjnego rządu i nie ulegało wątpliwości, że karta Polski jest kartą przegraną — dowodzi to tym większego bohaterstwa i wysokiego poczucia honoru żołnierza. Dlatego słowo „Westerplatte” urosło do znaczenia symbolu. Westerplatte nie było jednak jedynym punktem oporu na polskim wybrzeżu. Również ciężkie walki, w których marynarz i żołnierz polski skrwawił się najwięcej, trwały na płycie oksywijskiej, bronionej przez bataliony pułkownika Dąbka. Na Wybrzeżu ukazuje się wkrótce broszura, omawiająca szczegółowy przebieg tych walk, zakończonych śmiercią polskiego dowódcy i kapitulacją późniejszą od kapitulacji Westerplatte, bo ogłoszoną dopiero 19 września. Dziś tylko opowieści marynarzy, uczestników kampanii, świadczą — obok zniszczeń w terenie — o bohaterstwie tych zmagających z przeważającymi siłami niemieckimi dywizji. Port na Oksywie jest już odbudowany, ślady wojny usunięto na tyle, że może powstać tu baza morska, zdolna do wypełniania nowych zadań obronnych. Choć u wejścia do portu tkwi jeszcze wrak okrętu „Gneisenau”, rozminowane morze udostępnia kutrom drogę na Hel, będący ostatnim bastionem obrony wybrzeża przed sześciu laty.

Historia Helu jest historią woli przetrwania, wytrzymałości, spotęgowanej do ostatnich granic. 1 września 1939 telefon z Pucka doniósł o pierwszym nalocie niemieckim. Nie zorientowano się wówczas na Helu, czy idzie o nową prowokację w sprawie Gdańska, czy też wybuchła już wojna, której oczekiwano. Dopiero późniejsze wieści z kraju i meldunki

z poszczególnych odcinków obrony, wyjaśniły sytuację. Pogotowie Helu trwało od marca 1939, nie mogło więc być mowy o zaskoczeniu. Baterie przeciwlotnicze czuwały. Działa średniego kalibru i lufy szybkostrzelnych czterdziestek, od dawna zataczające kręgi po linii horyzontu, przyjęły napastników zorganizowanemu ogniem. Bombardują samoloty z hiszpańskiej eskadry „Condor”. Cypel półwyspu, konstrukcje portu wojennego, pozostają niemal bez przerwy w chaosie eksplozji. Część floty polskiej, która opuściła Gdynię, a zwłaszcza łodzie podwodne, znajdują tu bardzo problematyczne schronienie. Hel jest pod stałą obserwacją, niekiedy tylko nocą i przy zachowaniu wielkiej ostrożności można przeprowadzać niezbędne prace w porcie. Wśród tych trudności obrońcy przeżywają nieliczne radosne chwile, na widok napastniczych nurkowców, straconych przez własne baterie. Sytuacja pogarsza się z chwilą, gdy po kapitulacji Westerplatte wchodzi do walki pancernik „Schleswig-Holstein” i świeżo przybyły okręt „Schlesien”. Hel równocześnie odbiera wiadomości z kraju. Wie o posunięciach nieprzyjaciela. Mimo to nie myśli o poddaniu się, nawet gdy Niemcy dorzucają jeszcze eskadry trawlerów od strony Nowej Wsi i kontrtorpedowców od strony Królewca. Hel się broni.

Tuż przed upadkiem Warszawy, w nocy z 27 na 28, przychodzi na Hel depeza od Dowództwa Obrony Stolicy. Nadana szyfrem okrętowym, ponieważ wszystkie inne szyfry są już ujawnione. Z treści jej wynika, że dowództwu Helu pozostawia się wolną rękę w pertraktacjach w sprawie kapitulacji. Warszawa i Modlin składają już broń.

Nocna odprawa oficerów na Helu przynosi decyzję dalszej walki. Kapitulacja armii lądowej jest faktem dokonany. Marynarze postanawiają bronić jeszcze imienia polskiego żołnierza. Pod gradem bomb trwają z bronią w rękę, odpierają coraz częstsze, coraz dokuczliwsze ataki. Zaopatrzenie jest niedostateczne. To jest głównym powodem, że w nocy na 2-go października niemiecki sztab w Sopotcie przyjmuje parlamentarzysty, wysłanych przez polskiego admirała.

Walka o Wybrzeże dobiegła końca. Napastnik triumfuje, wysłał przez radio depeze będące dokumentem pychy. „Skończył się sen o polskim morzu”. Jeńcy polscy wędrują do obozów, ludność cywilna ginie w Stutthofie, Majdanku, Treblince, Oświęcimiu. Hitlerowska „Kriegsmarine” okupuje porty.

Być może, że „sen się skończył”. W każdym razie skończyła się na pewno linia polityczna, oparta na nierealnych podstawach. Gdy dzisiaj wracamy na Bałtyk, przenika nas dreszcz przerażenia na myśl, że mogliśmy istotnie zostać na zawsze od niego odepchnięci. A przecież nie można żyć bez oddechu, nie można istnieć bez obszaru wód, który znów otworzył się przed nami. Za ów wielki los, który ostatecznie wygraliśmy, zapłaciliśmy milionami pomordowanych w obozach zniszczenia. Jak ostrzec niektórych przed popełnianiem dawnych błędów?

Bandera polska ochrania dziś pas Wybrzeża długości 500 kilometrów. Nie wszyscy zdają sobie sprawę, co to znaczy. Powinni obejrzeć wystawę zorganizowaną w Gdyni pod hasłem „Nie powtórzy się wrzesień!”. Z plansz, fotografii i wielu innych nagromadzonych dokumentów dowiedzą się dokładnie, jaki był przebieg obrony Wybrzeża i o co wówczas walczone. Dowiedzą się również, ile pracy i najlepszej woli i wiary wymaga utrzymanie obecnych zdobyczy. Dowiedzą się, jak olbrzymią wagę posiada trwały sojusz narodów słowiańskich dla stworzenia warunków przyszłego życia, wolnego od grozy germańskiej agresji.

Westerplatte, Oksywie i Hel — to krwawe i najchlubniejsze karty w historii narodu, który zdradzony przez rząd i opuszczony przez dowódców, manifestował wobec świata swoje prawo do życia i posiadania ziemi nadmorskiej.

O ZIEMIACH.
NA KTÓRE WRACAMY SZLAKIEM KRZYWOUSTEGO
OPOWIADA REPORTAŻ

ZOFII DRÓŹDŹ i WŁ. MILCZARKA
ZAKOCHANI W POMORZU

STR. 40

ZŁ. 15

ILUSTR. 37

DO NABYCIA WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH

STEFAN FLUKOWSKI

Mały, jeniecki teatr...

W znakomitym francuskim filmie sprzed wojny „La Grande illusion” jest jedna scena, rozgrywająca się w jenieckim teatrze. Autor scenariusza połączył ją z wydarzeniem na froncie, wydarzeniem radosnym, niespodziewanym, olśniewającym w swej doniosłości. I oto scena skromnego teatryku jenieckiego przemienia się w jednej chwili na trybunę żarliwego patriotyzmu, Marsylianka jak płomień przerzuca się na widownię, wewnątrz baraku przeznaczonego na widownię staje się urną spontanicznego entuzjazmu. Film oczywiście pokazał teatr jeniecki w jego wyjątkowej i specyficznej chwili, w momencie najefektowniejszego oddziaływania na masę widzów rekrutujących się z ludzi izolowanych od świata i oderwanych od ojczyzny. Powstało pytanie, czy tak mogłoby być w rzeczywistości, czy tylko natykamy się tu na ową szczególną właściwość sztuki — powiększycielki życia?

Kiedym oglądał ten film na parę lat przed wojną, nawet mi przez głowę nie przeszło, że wypadnie przeżyć wiele lat za kolczastym drutem i co pewien czas brać udział w Iracach realnego już teatryku jenieckiego, zrodzonego z niedoli i tęsknot a będącego instytucją zawarowaną międzynarodową konwencją. I być wówczas niejednokrotnie świadkiem niemal tego samego entuzjazmu u widzów, tego samego zespolenia sceny z widownią jak na francuskim filmie.

Trzeba dopiero być jeńcem, aby ocenić co to jest konwencja genewska o jeńcach wojennych i powiązać najściślej łańcuchem przyczyn i skutków ten owoc umowy międzynarodowej, jakim jest teatr w obozie, z jej suchymi i w czasie pokoju tak mało realnymi przepisami. A przepisy te, to w dużej mierze troska o zdrowie psychiczne ludzi izolowanych od złych i dobrych stron życia. Jak znalezienie się w niewoli było zupełną niespodzianką i zaskoczeniem, tak i możliwość pracy teatralnej w czasie wojny, właśnie w kraju wroga, było czymś zgoła nie do wiary. A jednak tak się stało i oto nasza praca artystyczna nabrała niespodziewanie z punktu widzenia formalnego międzynarodowego charakteru, służąc swoją treścią i celami najbardziej własnym potrzebom środowiska polskiego. Tworząc w obozie polski teatr, budowaliśmy go na ocalalych w ogniu zębach przepisów prawa narodów. Nie mogłem się nigdy w czasie niewoli oprzeć uczuciu pewnego rodzaju głębokiej ulgi, ilekroć udawało się wyrażnie stwierdzić pulsowanie życia międzynarodowego, jako zjawiska ładu i pokoju.

Praca kulturalna w obozie odznaczała się przede wszystkim ubóstwem środków materialnych. Niemcy nie wysilali się, aby były zachowane pozory dotrzymywania przez nich konwencji. Odbiło się to może najdotkliwiej na teatrze, jako najwięcej wymagającym wkładów materiałowych. Dekoracja potrzebuje przede wszystkim drzewa, płótna, farb i gwoździ; rekwizyt — gipsu, blachy, sznurka, papieru; kostium — różnorodnych materiałów od aksamitu i jedwabiu poczynając a kończąc na muslinie i kretonie, a poza tym nici, farb, skóry; twarz aktora — szminek i peruk; scena — desek, kabli, żarówek, reflektorów, kurtyny i kotar; teatr w ogóle — opatu, odpowiednich ubikacji na próby i prace przygotowawcze; a jeszcze muzyki, jeśli już mają instrumenty, molestują nieustannie to o struny, to o włosie na smyczki, wrzescie o kalafonię czy papier nutowy. Setki potrzeb, ciągłych, powtarzających się z upartym natężeniem przy każdej imprezie. Wszystko to trzeba chociaż częściowo wydosłać w jakiś sposób od opiekunów. Jest to zakres pracy kierownictwa imprez artystycznych w obozach rtm. Wł. Braunka i kpt. mar. B. Mańkowskiego. Już od rana polują oni na jednego z oficerów niemieckich, który ma złeczone załatwianie tych właśnie spraw obozowych. Przypuśćmy, że tym razem chodzi o gwoździe, drobne gwoździki do obicia zmontowanych z łat konstrukcyj papierowymi siennikami. Już od dłuższego czasu gwoździki owe stanowią problem, bez tego nie można ruszyć widowni. Hauptmann mówi po polsku i ma stałą formułkę: „kiedy une (t. zn. Niemcy) tego nie mają”. Po pewnym czasie gwoździki się znajdują. Innym razem będą to kłopoty z cenzurą, która zaczyna dość niespodziewanie przyciskać śrubkę. Kiedys nie puszczono nam kilku scen z „Nocy listopadowej”, nie wydano ściągniętej z trudem z kraju Schillerowskiej „Królowej przedmieścia”, rzekomo z powodu piosenek dowcipkujących z byłej c. k. armii austriackiej. „Une” ciągle czegoś nie mają, bez względu na to czy odnoszą zwycięstwa, czy planowo się cofają, bo „une” nie chcą dać, „une” mają złą wolę. Więc trzeba kombinować, rozwijać pomysłowość, kleić, tworzyć coś z niczego. I pod tym względem można z czystym sumieniem przyznać, iż uczyniono więcej niż było to możliwe w najśmielszych nadziejach.

Pamiętam takie jedno zwycięstwo nad złą wolą „państwa opiekunczego”. Trzeba było wykonać rzeźbę małego amorka mającego

ozdobić wejście do domu doktora Bartela w „Cyrułiku sewilskim”. Figurkę wykonał w glinie kierownik rekwizytorni ppor. Kehler, po czym przystąpiono do zrobienia formy gipsowej. Nie udało się, gips był już zwietrzały. Więcej go nie mieliśmy, a „une” ani myślały dostarczyć nowego. Wobec tego trzeba było się chwycić innego środka. Z fajką w zębach i flegmą w duchu autor rzeźby wraz ze swym pomocnikiem jeli oblepiać glinianego Erosa drobnymi skrawkami maczanego w kleju papieru. Ukończywszy tę żmudną pracę, po wysuszeniu rozciągli na pół całą figurę i ze sztywnej już warstwy wydłubali glinę. Sklejono ze sobą obie części i figlarz Wenery narodził się raz jeszcze, mając ciało z papieru maché. Było to tylko jego zaletą, bowiem lekki jak piórko, ułatwiał pracę przy zmianie dekoracji.

Robienie rekwizytów i kostiumów było zawsze podejmowane z entuzjazmem, a z zamiłowaniem i starannością wykonywane. Pieszczone się z rondami cylindrów i gardami szpad, z farbowanych prześcieradeł szyto wspaniałe krynoliny, sute kontusze i kuse fraczki. Blacha z konserwowych puszek miała nie gorsze błyski od słynnych damasceńskich czy mediolańskich wyrobów. Ileż to razy papier zastępował sukno, a bibułka drogocenne koronki kryz i wstawek. Specjalne zasługi w przyczynieniu się do wspaniałej i sułej wystawy ponoszą nasi oficerowie marynarki. Do niewoli dostali się wraz z całym swoim dobytkiem po bohaterskiej obronie Helu. Ich fraki, mesdresy, białe spodnie czy epolety z bulionami, to zupełnie gotowe, niemal wymarzone stroje, uszyte ze wspaniałych materiałów; a jeszcze peleryny, dzięki którym odkrywcą Ameryki w „Jajku Kolumba” wyglądał na prawdziwego bohatera, zaś Almaviva w „Cyrułiku sewilskim” na rasowego romantycznego kochanka. Gramy „Zemstę” — potrzeba złotych butów. Czy myślicie, że nie znajdziemy takich w obozie? Ależ oczywiście, już ktoś informuje, że por. X w baraku Y posiada czerwone, palone buty z cholewami, a inny żółte, a jeszcze inny pas nabijany metalowymi guzami, ktoś białe rękawiczki czy pończochy, że się ograniczamy do tego tylko szczegółu garderoby męskiej. Tak, obóz jest dziwnie zasobny i zawsze coś można w nim znaleźć. Reszty dokona pomysłowość i improwizacja. Wszystko się robi i sam diabeł nie pomoże Niemcom, by nasze życie kulturalne zwięzi do potrzebnego im formalnego minimum.

Każdy kto pomaga teatrowi w jego niedolach nie pozostaje obojętny sercu kierownictwa. Owszem, nie mówiąc o pracownikach stałych, każdy życzliwy otrzymuje gratis bilet na t. zw. premiery prasowe. Jeden bilet, rozdzielony dla przysługę oddaną temu właśnie widowni. Tylko pan porucznik B. trzy albo pięć. Dlaczego? Bo tego żąda. Ale za co i jakim prawem? Jest właścicielem jedynego w obozie żelazka elektrycznego i wyzykuje tę swoją przewagę gospodarczą w sposób nader skrupulatny i nieco bezwzględny. O każdy bilet walczy zacięcie, w każdej chwili gotów zabrać żelazko, co zresztą parę razy i czyni. Zna wartość swego skarbu i umie go należyście wyzyskać. I nic tu nie znaczy, że gdyby nie teatr, to by mu Niemcy skonfiskowali skarb, bo skarb żre prąd, a Trzecia Rzesza prowadzi wojnę i musi skupić wszystkie siły, aby ją wygrać. Teatr przekonał Niemców, że mu jest to żelazko niezbędne i dostał je, ale tylko na swoje potrzeby. W zmniejszono to jednak słodkiego terroru ze strony miłego zresztą starszego pana, który poza tym naprawdę bardzo lubił chodzić do teatru. A że w potwornej zawierusze wrześniowych dni nie stracił głowy i poszedł do niewoli z elektrycznym żelazkiem, to tylko jego szczęście i niedaremna przeczność.

Widziałem początki dwóch teatrów, dwa organizacyjne prymitywy: w Arnswalde i Wol-

denbergu i oba przerodziły się w placówki w pewnych okresach ich istnienia naprawdę artystyczne. Dały bardzo dużo widzom, jeszcze więcej tym, którzy w nich pracowali, chociażby na najmniej eskonowanych stanowiskach. Z cierpliwością zawodowych bileterów i mechaników teatralnych tkwili godzinami podporucznicy i porucznicy na swych miejscach, kontrolując bilety, ustawiając dekoracje, manipulując światłami. Byli to już nie miłośnicy, ale nałogowcy teatru, rutyniarze Melpomeny, weterani oswojeni z wszelkiego rodzaju trickami techniki scenicznej i w razie potrzeby umiejący wszystkiemu zaradzić. — Krawcy, malarze, rekwizytorzy, elektrotechnicy, gospodarze sali, stolarze — to ci, którzy najbardziej przyczynili się do tego, że przepisy konwencji genewskiej o jeńcach wojennych odnośnie życia kulturalnego obozów polskich zostały wykonane i wyzyskane do ostatecznych granic miejscowych możliwości. Oni to obronili swym wysiłkiem i cierpliwą troską powagę prawa międzynarodowego, niewątpliwie wbrew wyraźnym intencjom III Rzeszy. I odnieśli niezaprzeczalny sukces.

Ich to wysiłek i praca były tym żelaznym fundamentem, na którym aktorzy obozowi budowali swoje sukcesy przy wypełnionej zawyczaj widowni. Na zespół aktorski teatru obozowego złożyło się kilku aktorów zawodowych i gromada amatorów. Było zjawiskiem nader charakterystycznym, że wśród amatorów wyróżniali się szczególnie młodzi oficerowie zawodowi (Neuman, Lindner, Pęski). Po paru latach pracy scenicznej kierowani przez sprawnego zawodowego reżysera stawiali się amatorzy zupełnie pożytecznym materiałem. Jednak ciągle otwartym problemem była obsada ról kobiecych. Przy wyborze nowej sztuki zaczynało się zawsze od pytań: ile i jakie role kobiece? Była to wieczna kwadratura koła. „Teatr bez kobiet” to właśnie teatr jeniecki, najtrafniej scharakteryzowany. „Theater ohne Frau” jest książką o teatrach obozowych z tamtej wojny. Można się z niej dowiedzieć, jakim to uwielbieniem otaczano młodych oficerów grających kobiece role. Jak oni znów ze swej strony nabierali manier typowych dla aktorek i gwiazdek. Walka o role i intrzygi, fomy, gierki dla oklasku były tam równie spotykane na każdym kroku jak w normalnym teatrze. Jednak potrafili grać, bo potrafili wzruszać i wzbudzać nieraz zachwycenie u widzów. Im lepszy tekst, tym wyżej podciągali swą grę, byli lepsi. A to już bardzo wiele.

Początki obozowych teatrów były zazwyczaj ubożuchne. Ludzie się nie znali, częściej ktoś bardziej przedsiębiorczy raczej aniżeli uzdolniony i fachowiec dawał inicjatywę i rozkładał pierwsze widowisko. Miało ono z zasady charakter rewiiowy. Sklejano do kupy co kto pamiętał ze swego bujnego, cywilnego życia, podlewano to sosem nowej rzeczywistości jenieckiej i puszczano w ruch. Dopiero potem, powoli, częstokroć nawet nieraz bardzo nieśmiało, przechodzono na repertuar o dramatycznym charakterze. W Arnswalde już latem 1940 roku wystawiono „Ptaka” Szaniawskiego, obóz w Woldenbergu, który dopiero w czerwcu 1940 począł ze Stalagu przekształcać się w Oflag, znacznie później jął się literatury dramatycznej, bo dopiero w styczniu 1941 i to na o wiele skromniejszą skalę. Wystawiono bowiem tylko dwie jednoaktówki: „Tęsknotę za Julią” Stefana Flukowskiego (reż. Jan Koecher, dek. T. Ptaszycki) i „Noc na Goboto” według noweli J. Londona (reż. Kazimierz Rudzki, dek. I. Knothe). Jednak Woldenberg nie miał tak przychylnych atmosfery w tym względzie jak Arnswalde (odległość między nimi wynosiła około 30 klm), gdzie po sukcesie „Ptaka” już jesienią 1940 wystawiono „Zemstę” a za nią i inne rzeczy z zakresu dużego repertuaru. W Oflagu woldenberskim natomiast klasyczny, ściśle dramatyczny repertuar ciągle pod-

upadał w rozgardiaszu różnych prób i perypetyj. Dopiero w lecie 1942 r. wkroczone konsekwentnie na tę drogę. Ale o tym nieco dalej.

Natomiast oczywistym sukcesem była strona plastyczna widowisk, zarówno dekoracyjna jak i kostiumowa. Pewnego rodzaju specjalnością Oflagu IIC w Woldenbergu były t. zw. cyrki. W r. 1940 było ich dwa, w następnym — jeden. „Cyrk Neumana” (od nazwiska organizatora, por. Bohdana Neumana, obecnie kierownika Teatru CDZ w Warszawie) miewał przeważnie przedstawienia na wolnym powietrzu, na specjalnie wykopanej arenie z usypanymi amfiteatrami dla publiczności. Jeden z tych cyrków w 1940 r. był wspaniałą coridą. Właśnie ona stała się pierwszą rewelacją w zakresie kostiumu i rekwizytu (ppor. Stefan Michalski). Tu przejawiała się cała pożyteczność cyrków. Dzięki nim rewelowali się dekoratorzy i kostiumierzy. Okazali w całej pełni swe możliwości.

W ogóle, i to wymaga szerszego omówienia, strona plastyczna widowisk w polskich obozach jenieckich była bodajże najsilniej rozwiniętym ich elementem. Przede wszystkim zadecydowała o tym wielka ilość artystów, przeważnie architektów. O ile literatów wśród oficerów rezerwy przebywających w niewoli (i w ogóle w wojsku w 1939 r.) było można zliczyć na palcach jednej ręki, niemal, o tyle plastycy stanowili bardzo silny liczebnie zespół. Było to młodsze pokolenie, wychowanek polskimi politechnik i akademij malarskich. Poczucie dekoracyjności tak przyrodzone wyobraźni plastycznej Polaków, pozwalało im z łatwością przetrząść się od myślenia wielkimi kategoriami brył architektonicznych do zabudowywania skromnej przestrzeni scenicznej sugestiami forni i widmami konstrukcyj. Robili to też z rozmachem i śmiało, z głębokim poczuciem koloru i perspektywy scenicznej. Zastanawiałem się częstokroć nad stylem tych prac, nad ich ogólniejszą charakterystyką i sądzę, że, o ile jest to możliwe do przeprowadzenia, to w sposób bardzo ogólny. Było tego wiele i to rzeczy robionych przez różnych artystów, ale wyciągnąć z nich pewne zasady może być zagadnieniem nieco delikatnym. Tym bardziej, że w teatrze styl narzuca w dużej mierze i sam tekst utworu, o ile jest sumiennie potraktowany przez plastyka. Wydaje się jednak, że konstruktywizm przeważał raczej nad czysto dekoracyjnym, ornamentacyjnym wypełnieniem sceny. Malarskość była tam na usługach architektury wnętrza. Plastyczność brył wydobywała obok koloru i światła w równej mierze i t. zw. papierowa plastyka. Towarzyszyła ona wszelkim elementom scenicznego fragmentu, przydając przedmiotom scenicznym masy i ważkości, czyniąc je gatunkowo wartościowsze. Tego samo malowanie nie jest nigdy w mocy na scenie zastąpić. Dopiero w połączeniu z papierową plastyką kolor tworzy z przedmiotu scenicznego dzieło zdolne spełnić swą funkcjonalną rolę w toku dziejącego się i narastającego dramatu. Szczególnie wszelkie partie architektury przedstawianej na scenie podkreślały niezwykle walory papieru jako materiału oddającego w pełni autentyczną złudę formy, styl i atmosferę brył architektonicznych.

Ponieważ papier obok drzewa był jedynym niemal materiałem, z którego w obozach budowano dekoracje i robiono rekwizyty (płótno w ogóle nie egzystowało), więc z konieczności stał się on podstawowym i głównym środkiem plastycznej formy. Narzucił wiele problemów fakturowych i z licznych doświadczeń na nim przeprowadzonych udało się wydedukować wiele ciekawych wniosków na przyszłość. Może najdalej idącym będzie poszerzenie w ogóle samej fikcji teatralnej i spotęgowanie samej konwencji scenicznej, zsyntetyzowanie jej.

Sądzę, że dzięki takiej konwencji plastycznej wyrosłej w ogniu doświadczeń a nie teoretyzowania, udało się wydobyć ze skromnych środków materiałowych efekty, przechodzące swym poziomem potrzeby nieraz blących utworów i amatorskiego zgoła podejścia do realizacji. A taka oprawa dekoracyjna i dostosowanie do niej kostium, jeśli nie narzucały, to wzmacniały wrażenie i, co tu ukrywać, być może ratowały widowisko. Artysta-plastyk zawodził bowiem wyjątkowo rzadko.

Nasza scena mierzy cztery metry na cztery. Mamy więc z nią wiele kłopotów, bardzo często trzeba poza nią wykraczać. A tam są znów wąskie skrawki kulis — garderoba i dekoratornia. Wszystko sobie siedzi na głowach, przy paru lustrach kolejka do charakterystyki. Z ciemnego wąskiego przesmyku za sceną prowadzą drzwi do małej izdebki z jednym oknem (bardzo ważnym — przez nie wchodzi się i wychodzi w czasie przedstawienia) i dwójgiem drzwi na prawo i lewo. Mimo tak odmiennych kierunków prowadzą one do podobnych jak dwie krople wody a nieczynnych ustępów. Na przegrodach kabin położono podłogę i oto na górze, pod samym dachem baraku uzyskaliśmy dwa podłużne pokójki coraz to ulepszane i bogatsze z czasem o parę foteli, pozostałość z zeszytych z afisza sztuk. Jeden z pokoiików to pracownia krajoznawcza, drugi jest gabinetem dyrekcji, miejscem prób, garderobą, pracownią literatów i muzyków a co najważniejsze, ciepłym kątem w przenikliwe jesienne czy zimowe dni.

WITOLD WIRPSZA



Przyjemnie jest głowę złożyć w pluszczącą trawę
I kwiaty, zebrane z powiek, wplątać w siłowie myśli.
Niebo zapada w wodę. Słońce brzegi chmur kreśli
Srebrnym obwodem — rozbliskany wiatrem.

Lub stanąć, jak posąg strzelca i czekać na kuropatwę,
Co w cieniu traw się szmerem albo łopotem przysni;
Strzelić — i krew się poleje kroplami zmniejszonych wiśni,
A płak się potknie w powierzu, przestraszy i padnie martwy.

Zabawa to, godna dzieci i biegających zajęcy,
Jaskółek, krążących nad sławem. Aby zestrzelić wzruszenie,
Trzeba jednej chwili, co jak taśma się skręca,
A krótsza jest, niż wystrzał, a strzela wspomnienie
i pęka cicho i jasno. Siłowie, zduszone, nie brzęczy:
Oto wczorajsze postacie spływają, kołysząc przestrzeni.

Raz, a czasami i dwa razy do roku sala teatralna jest odświeżana i przyozdabiana, na środku wisi olbrzymie koło żyrandola zrobotowanego z blachy od konserwowych puszek i oczywiście papieru. Na słupach małe żyrandole wykonane z tychże materiałów. Kurtyna z szarych lub niebieskich koców działa na bezszmerowym systemie bloczków. Jest i przedśionek, jest i pokój elektrotechników — oba wykrojone z tylnej części sali. Wszystkie ściany dzielące te poszczególne ubikacje są zrobione z tektury obitej na ramach z drewnianych łąt. Płaszczyny ścian oklejone grubym papierem mocno pomarszczonym (faktura marmurku) i pomalowanym. Urządzenie sali, sceny i w ogóle całości projektował i wykonał architekt Tadeusz Ptaszycki przy pomocy pracowniczego jak mrówki, zespołu dekoratorów i rekwizytorów. Jest to najpiękniejsza urządzona i najstaranniej utrzymana sala obozu.

Była ona bez przerwy, przeszło cztery lata wyłącznie niemal przeznaczona na teatr. Na deskach jej sceny poszedł jeden cyrk a potem co się zdarzyło — rewie, komedie i widowiska muzyczne, tragedie, dramaty a także część koncertów kameralnych. Służyła też początkowo odczytowi i pogadankom odrapaną salą baraku obok kuchni, gdzie szczek naczyn, zapach cienkiej zupki i głosy kucharzy rozpraszały uwagę słuchaczy; potem był to najprzystępniejszy zakątek publicznego życia obozu, ta sala ma około dwieście pięćdziesiąt miejsc. Była ona i pod innym względem szczególnie pożądana: z dala od głównej ulicy, niemal otoczona pasem zieleni obozowego ogródka botanicznego. Nawet sąsiadowanie pod jednym dachem z kuchnią nie wyszło teatrowi na złość. Dzięki temu właśnie scena miała cały dzień światło. Po barakach w ostatnich paru latach było ono włączone i wyłączane o pewnych godzinach, ściśle określanych rozkazami komendy niemieckiej. Pomieszczeń kuchennych to nie obejmowało i teatr mógł pracować o każdej porze dnia, to znaczy niemal normalnie, bowiem wieczorami przedstawienia odbywać się nie mogły. Abwehra o piątę kończyła urzędowanie a z nią także i cenzorzy.

Zasadnicze wspomnienia z teatrów obozowych muszę ograniczyć z konieczności do tych momentów, gdzie mój osobisty udział był bezpośredni i niewątpliwy, kiedy całkowicie „siedziałem” w pracy teatralnej. Mogła to być praca nad poszczególnym widowiskiem a mogło być kierownictwo sezonem teatralnym. Całe długie okresy nie interesowałem się w ogóle teatrem nawet jako widz. Zresztą pracę w tej dziedzinie traktowałem jako wyjątkową okazję na te ciężkie czasy do przeprowadzenia pewnych doświadczeń i zorientowania się „w pojemności” realizacyjnej wizji dramatycznej a także i wiedzy przystosowywania tekstu literackiego do scenicznego czasu-przestrzennego postulat. Chodziło mi też o mniejsze ale i niemniej ważne rzeczy, o drobne odcinki życia teatru, o warsztat teatralny, jego organizację i charakterystyczną funkcjonalność. A przede wszystkim o coś podobnego do pracy kompozytorów muzycznych, tak jak oni ją spełniają stojąc przy pulpiciu kapelmistrzowskim czy siedząc przy instrumencie. Miałem ciągle w pamięci przykład Rimskiego-Korsakowa, bezustannie doskonalcącego swą „Szeherazadę” dzięki tylko tej okoliczności, że rozporządzał w każdej chwili najwspanialszym zespołem orkiestrowym Petersburga. Najpotężniejsza wyobraźnia, najbłęjsza rutyna, najprawdziwsze wyzucie i trwała pamięć zawsze mogą zawieść. Sprawdzenie kompozycji muzycznej na instrumencie czy orkiestrze, a utworu dramatycznego na scenie jest warunkiem czystej konieczności ludzkiej. Nie darmo Wyspiański bolał nad losem Słowackiego, któremu nie dane było za życia ujrzeć chociażby na jakiej scenie amatorskiej swoich dramatów. Autor „Wesela” uważał, iż jego wielki poprzednik nie popełniłby tych niedociągnięć, jakie niewątpliwie tkwią w rozwianej nieco romantycznie dramaturgii Słowackiego. A przecież to prawdziwy geniusz teatru, obdarzony wyjątkowym poczuciem sceniczności. Nie zaskodzi więc jeszcze raz wspomnieć, że trzej potentaci dramatu i inicjatorzy nowych epok teatralnych, Ajskyllos, Szekspir i Molier byli ściśle związani ze sceną jako warsztatem w charakterze reżyserów, aktorów i kierowników teatru. Temu nastawieniu należy przypisać, że mała, amatorska scenka obozowa była dla mnie tą wielką przychylnością losu w ogromie osobistych i publicznych katastrof, przychylnością będącą zarazem oczywistym dowodem zawziętości i dziwaczności kolei ludzkich życia na ziemi.

I tak pierwsza redakcja wspomnianej już jednoaktówki „Tęsknota za Julią” napisana dla scenki w Arnswalde (Oflag IIB) w lutym czy marcu 1940 r. była 13-minutowym skeczem, wtłoczonym w numery rewiowe. Z braku kogoś odpowiedniejszego namówiono mnie, abym sam zagrał rolę Szekspira. Już wtedy zorientowałem się, iż rzecz wymagać będzie nowego opracowania, wiele zostało niedopowiedziane, niewyżyskane. Aż się prosiło o rozwinięcie w całej pełni tej dramatycznej konieczności, którą czujemy, ale której zdefiniować, póki nie ukształtowana ostatecznie, nie potrafimy. Jesienią tegoż roku, już w obo-

zie w Woldenbergu (Oflag IIC) przerobiłem więc skecz na jednoaktówkę. W tej drugiej redakcji dopiero uzyskał utwór właściwe proporcje. Ale nie ostateczne. W czasie prób bowiem w styczniu 1941 r. ppor. Rokosowski grający rolę reżysera, prosił o jej wzbogacenie. Dostrzegłem dopiero wówczas, że istotnie jest ona w stosunku do pozostałych ról nieco za uboga, zbyt szkowito potraktowana. Dopisałem więc monolog o kasie i miłości. Ze swej strony reżyser Jan Koecher (grający poza tym rolę Aktora II) uznał za stosowne wprowadzić w momentach pojawiania się i znikania Szekspira muzykę (kompozytora angielskiego XVII w. Parcella) oraz epizod z kwiatem. To wszystko zatrzęsłem już później jako istotne elementy akcji. W ten sposób „Tęsknota za Julią” stała się widowiskiem 23-minutowym. Ale jeszcze na tym nie koniec. Na ostatnim bodaj przedstawieniu dojrzałem nowy moment, całkowicie niewyżyskany a niewątpliwie uchylający konstrukcji zasadniczej utworu: nierozwinięcie w dialogu z Szekspirem kwestyj tak obficie poruszanych w czasie poprzedniej rozmowy obu Aktorów. Spostrzeżenie to bardzo mnie podnieciło, toteż załatwiłem sprawę szybko, przedłużając czas trwania utworu o około pięć minut. „Tęsknota za Julią” uzyskała w ten sposób swój ostateczny kształt sceniczny. Niewątpliwie że dużo w tym błędzeniu należy złożyć na karb narzuconej początkowo formy parunastominutowego skeczu, ale ileż zawdzięczać trzeba ciąglemu kontaktowi ze sceną, możliwościom oglądania i przymierzania utworu w jego przyrodzonej atmosferze scenicznej. To również pozwoliło uczynić z języka jednoaktówki możliwe najpodatniejsze narzędzie wypowiedzi dla aktora.

Podobny niemal wypadek miał miejsce i z komedią muzyczną „Jajko Kolumba”. Została ona napisana na rozpaczliwy zew kie-

rownictwa imprez obozowych o jakiś program na święta wielkanocne 1941. Podjąłem inicjatywę napisania komedii o odkrywcy Ameryki i wspólnie z Andrzejem Nowickim, Ludwikiem Natansonem i Henrykiem Rostworowskim, w ciągu paru tygodni napisaliśmy teksty, do których doskonałą muzykę dorobił Stanisław Gajdeczka. Pisaliśmy (nie wyłączając Gajdeczki) na łózkach, stojąc, w powietrzu, tylko nie na krzesłach i nie przy stole. W dodatku było zimno (marzec) i jedynie Grecy przeciwstawiający się skutecznie włoskiemu „imperium” byli naszą stałą pociechą.

W ogóle rok 1941 w obozie był rokiem gorączkowej pracy dramatopiskarskiej. Cały repertuar aż do wiosny 1942 opierał się na utworach miejscowych piór. Musiało się to oczywiście skończyć niedobrze i tak też się stało. Rzecz doszła do tego, że przez następne dwa sezony poza rewiami nie wystawiono już ani jednego utworu miejscowego dramaturga. Spośród rzeczy napisanych w tym okresie „bujności” należy wymienić: Edwarda Fiszera widowisko muzyczne o Twardowskim „Zaczarowana studnia” (muzyka Bursy), 3-aktowe widowisko wierszem o Janosiku, i „Hotel ludzi dobrej woli”, rzecz w 3 aktach wynikała z lektury „Pamiętnika wiejskiego proboszcza” Bernanosa. Jesienią wystawiono nagrodzone na konkursie: Andrzeja Nowickiego sztukę w 6 obrazach „Mały”, rzecz o instynkcie ojcowskim artysty malarza, oraz Jerzego Hryniewieckiego (również i dekoratora) i Antoniego Paprockiego 3-aktową sztukę wierszem „Testament”, rzecz o atmosferze przedwojennej rzeczywistości politycznej. Nie została wystawiona dobrze napisana farsa L. Natansona i Andrzeja Konarka pt.: „Ciężkie czasy”.

Teatr Kukielek natomiast cały czas pracował niemal wyłącznie piórami miejscowych autorów. „Zaczarowane koło” Rydla należało do wyjątków, zresztą najświetniejsze przed-

stawienie tego teatryku (reżyserował K. Rudzki).

Po załamaniu się twórczości obozowej teatr znalazł się w impasie. Latem 1942 r. zreorganizowano go, wszedłem do nowego kierownictwa, ppor. Bohdan Nauman jako doradca literacki. W ciągu jednego sezonu wystawiliśmy: jeszcze w lecie 1942 roku dwie jednoaktówki — Norwida „Noc 1002-a” i Dunsana „Noc w oberży” (obie w reż. Jana Koechera, dek. W. Staniszkis i T. Ptaszycki), „Zemstę” (reż. Kazim. Rudzki, dek. J. Hryniewiecki), jednoaktówkę o św. Franciszku Housmana „Brat Złota” (reż. J. Koechera, dek. J. Łonicki) i „Cyrylika Sewilskiego” (reż. J. Koechera, dek. Knothe i Michalski). Poza tym rewie „Pod szczęśliwą gwiazdą” (dek. Ptaszycki, Łonicki) i widowisko muzyczne „Tivoli” (dek. W. Staniszkis, obie rzeczy reż. K. Rudzki). Dwie sztuki będące już w próbach nie doszły do skutku: we wrześniu 1942 r. kompozycja z kilku scen „Nocy listopadowej” (reż. T. Muskat), którą zabronili Niemcy i w czerwcu 1943 dwuaktowa sztuka Stefana Flukowskiego „Chwila królewskiej niemocy” (reż. J. Koecher) nie dopuszczona przez kierownictwo komisji kulturalno-oświatowej obozu i potępiona następnie przez polską komendę rozkazem specjalnym. Pogłębiony w ten sposób konflikt spowodował ustąpienie całego kierownictwa imprez obozowych i teatru oraz szeregu osób związanych kilkoletnią pracą z tymi instytucjami. „Noc 1002” i „Noc w oberży” poszły w ramach „Tygodnia teatru”, w czasie którego zostało wygłoszonych kilka odczytów, felietonów, publicznych dyskusyj oraz recytacji fragmentów dramatycznych. Zagadnienia teatru średniowiecznego, współczesnego, społecznego, jenieckiego spłotyły się w interesującą całość z recytacjami, anegdotami teatralnymi i sprawami z zakresu plastyki scenicznej. Z okazji „Tygodnia teatru” został wydany album drzeworytów Jana Knotheo i Stefana Michalskiego na tematy najlepszych dzieł sztuki wystawionych w Woldenbergu. Miała być i wystawa, ale wobec ciągłych braków materiałowych nigdy nie mieliśmy możliwości zachowania starych kostiumów.

Z chwilą wystawienia na scenie „Zemsty” potęga poezji fredrowskiej opanowała bez trudu serca widzów, a środki wykonawców ukazała we właściwej skali. Wiersz Fredry wtargnął do baraków i długo się odbijał w rozmowach jeńców echami uroczego ośmiółzłogowca. 34 przedstawienia, przeszło 9.000 widzów, to znaczy około połowa obozu była niemal dwukrotnie na „Zemście”. Jeszcze większym sukcesem był „Cyrylik sewilski”, który osiągnął liczbę 36 przedstawień. Inscenizacyjnie został on szczególnie starannie opracowany. Prolog autora na kurtynie i małe uwerturki przed aktami stanowiły ramy właściwego widowiska. Dekoracje Knotheo i Michalskiego były szczytowym osiągnięciem w zakresie smaku i rozwiązania scenicznego. Muzykę barwną i z poczuciem humoru skomponował dr Jerzy Młodziejewski. Było to widowisko cieszące się szczególnym powodzeniem wśród szeregowych, którzy na ogół przekładali rzeczy ściśle dramatyczne nad rewiowe. Wydaje się, że do nieukształconego widza łatwiej docierają wielkie namietności duszy i czysty humor. Bierze on je takimi jakimi one są: pychę za pychę, zazdrość za zazdrość, śmieśność za śmieśność. W sztuce dramatycznej tkwią u podstaw czynniki pierwsze, pozwalające rozumieć najprzebiejniejszemu widzowi rzeczy najtrudniejsze. Do takich właśnie dzieł dramatycznych należą i „Zemsta” i „Cyrylik sewilski”.

Od lata 1943 roku znów utraciłem łączność z pracą w teatrze. Był tam kontynuowany repertuar jeśli nie najlepszych sztuk, to do brych nazwisk: „Damy i huzary”, „Maria Stuart”, Słowackiego, „Kres wędrowki” itp. Z ciekawszych wydarzeń repertuarowych tego ostatniego okresu teatru obozowego było niedopuszczenie na scenę przez kierownictwo kulturalno-oświatowe komendy polskiej dramatu Żeromskiego „Sulkowski”.

Dla uzupełnienia całości godziłoby się wymienić jeszcze wystawione w oryginale przez teatr obozowy instytutu angielskiego m. in. Milne’a „Boy Comes Home” i będącą tamże w próbach Shawa „Man of Destiny”.

Byliśmy jednym z wielu obozów, my Oflag II C w Woldenbergu. Nasz teatr był jednym z licznych teatrów jenieckich. Ale wiemy teraz jedno: mieliśmy mały teatr obozowy, ubogi, skromny ale nasz własny, polski teatr. Wspomniałszy go, możemy powiedzieć już teraz z całą pewnością, że mając go, żyliśmy ponad stan, nasz stan niedoli jenieckiej.

Stefan Flukowski

W poprzednim (44) numerze „Odrodzenia” z dnia 30 września: Zbigniew Bieńkowski: Pierwszy ogólnopolski zjazd literatów. — Wanda Telakowska: O udział plastyki w życiu gospodarczym kraju. — Ksawery Pruszyński: Dzieje emigracji londyńskiej (I). Rzecz działa się we Francji... — Czesław Schabowski: Pierwsza spowiedź. — Henryk Batowski: Młodzi Uniwersytetu Jagiellońskiego w Dachau. — Stanisław Jerzy Lec: Wspomnienie. — W oczach pisarzy. Anketa „Odrodzenia”. (Odpowiedź Stanisława Helsztajńskiego). — Marian Turwid: W młodej stolicy starego Pomorza. — Stefania Łobaczewska: Zjazd Związku Kompozytorów Polskich. — Józef Szeradski: W obozach. — Paweł Ettinger: Kronika kulturalna ZSRR. — Zygmunt Fijas: Wyznania referenta. — Henryk Vogler: Studium nieczystej wody. — Korespondencja (Czesław Świerczewski, Tadeusz Pelper). — Literaci na zjeździe (4 rysunki Edw. Głowackiego). — Tadeusz Brzecz: W teatrach krakowskich. — Władysław Lech: Taniec anegdotyczny. — Literatura angielska w czasie wojny. — 4 ilustracje. — 2 stron.

Rola Polski w ogólnosłowiańskim zbliżeniu kulturalnym

W dziejach zbliżenia kulturalnego między narodami słowiańskimi nauka i literatura polska mają bardzo chlubne karty. Słowianoznawstwo polskie z końca XVIII i XIX wieku rozwijało się bardzo wielostronnie i z najlepszymi wynikami, tak dalece, że zasłużyło sobie nawet na specjalną monografię, którą napisał wielbiciel kultury polskiej, Rosjanin, prof. W. A. Franczew, członek Czeskiej Akademii Nauk („Polskoje sławianowiedienije konca XVIII i pierwoj czetwerti XIX wieku”, Praga, 1906).

Zainteresowanie dla narodów pobratymczych i dążność do poznania ich przeszłości i kultury ujawniło się w owym okresie (przełom XVIII i XIX w.) w szeregu podróży naukowych do krajów słowiańskich, podjętych przez wybitne jednostki ówczesnego polskiego świata kulturalnego, oraz w rozprawach naukowych i literackich, później zaś w gorliwym przekładaniu literatur pobratymczych. Na przełomie XVIII i XIX w. Polska niewątpliwie przoduje w naukowym słowianoznawstwie. Większe możliwości materialne Rosji sprawiły, że po pewnym czasie i słowianoznawstwo rosyjskie stanęło na bardzo wysokim poziomie, ale o ile chodzi o odradzających się dopiero pozostałych Słowian, zachodnich i południowych, Polska była im tu właśnie w dziedzinie kulturalnej przewodnikiem i przykładem.

W szczególności odrodzenie kulturalne czeskie czerpało pełną garścią z wzorów polskich. Wszyscy niemal działacze narodowi, „budziciele narodu” ówczesnych Czech, Dobrowský, Jungman, Čelakovský, Słowacy piszący po czesku Šafařík i Kolář i wielu innych, pozostawali w najżywszych związkach z kulturą polską i na polskich głównie opierali się wzorach. Wykazała te rzeczy dowodnie m. in. specjalna 2-tomowa monografia polskiego profesora w Pradze, M. Szykowskiego, członka Akademii, pt. „Polská účast v českém národním obrození” („Udział Polski w czeskim odrodzeniu narodowym”). Podobnie wiele zawdzięcza chorwackie odrodzenie wzorom polskim, gdyż dwaj główni działacze „iliryzmu”, tj. odrodzenia jugosłowiańskiego w pierwszej połowie XIX w., Gaj i Vraz, znali kulturę polską i opierali się na polskich koncepcjach.

Także i najmniejszy naród słowiański, Łużycanie, korzystał z wzorów polskich: pod polskim wpływem byli dwaj najważniejsi kulturalni działacze Łużyc w tym czasie, Smolér i J. P. Jórđan. Polski podróżnik-slawista Andrzej Kucharski podczas swego pobytu w Łużycach w pierwszej połowie XIX w. zdziwiał nader wiele dla ustalenia kierunku łużyckiego odrodzenia narodowego, podobnie jak w drugiej połowie tegoż stulecia zasługi dla Łużyczan położył polski historyk W. Bogusławski, autor jedynej dotychczas pełnej historii Łużyc („Rys dziejów serbo-łużyckich”, Petersburg, 1861).

Słowianoznawstwo polskie nadawało ton całemu słowianoznawstwu pierwszej ćwierci XIX wieku, szerząc zasadę obiektywnego po-

znania i bezstronnej oceny zjawisk kulturalnych. Później, wskutek niekorzystnych warunków politycznych, słowianoznawstwo polskie przestało się rozwijać pomyślnie i zostało wyprowadzone przez słowianoznawstwo rosyjskie i czeskie. Ale od końca XIX i z początkiem XX w. naukowe słowianoznawstwo polskie ponownie zajmuje należne miejsce w naukowej współpracy narodów słowiańskich. Zwłaszcza językoznanstwo słowiańskie w Polsce, reprezentowane przez szereg uczonych, o rozgłosie europejskim, jak Baudouin de Courtenay, Łoś, Nitsch, Lehr-Spławiński, Słoiński, Ułaszyn i w. in., zyskało uznanie w międzynarodowym świecie naukowym.

Inne gałęzie słowianoznawstwa zostały poniekąd zaniedbane. Niemniej Polacy mogą się pochlubić, że tylko oni jedni posiadają naukową bibliografię słowianoznawczą, wydaną w opracowaniu E. Kołodziejczyka przez krakowską Akademię Umiejętności w r. 1911 pt.: „Bibliografia słowianoznawstwa polskiego”.

Dążność do obiektywnego poznania i bezstronnej oceny przyświecała także doskonałemu czasopiśmu, poświęconemu Słowiańszczyźnie współczesnej, wydawanemu w Krakowie w latach 1905—1914 p. n.: „Świat Słowiański”. Tych samych zasad trzymał się później miesięcznik „Ruch Słowiański”, wydawany we Lwowie w latach 1928—1939.

Polacy występowali przeciw mistycznemu i nieokreślonemu bliżej panslawizmowi, który uważali za nierealny. Natomiast byli i są najgorętszymi zwolennikami kulturalnego zbliżenia między narodami słowiańskimi, opartego na gruntownym, ścisłym, bez uprzedzeń podjętym poznaniu się wzajemnym. Musi ono w pojęciu polskiej nauki słowianoznawczej polegać na pełnym respektowaniu odrębności kulturalnej wszystkich narodów słowiańskich, bez względu na ich liczebność i niewielkie choćby znaczenie polityczne. Bezstronność, wyłączne szukanie prawdy i obiektywna ocena zjawisk winny cechować wszelki stosunek do problemów słowiańskich.

Także kulturalna propaganda słowiańskości winna być zdaniem polskich działaczy oparta na bezstronności i gruntownej znajomości faktów. Budzenie sentymentów przyjaźni na podstawie faktów nieścisłych czy nieprawdziwych, może się bowiem zemścić w razie ujawnienia rzeczywistego stanu i zniweczyć rezultaty poprzednio osiągnięte.

Nauka i literatura polska biorą udział w zbliżeniu kulturalnym między narodami słowiańskimi i to z najlepszego przekonania i z głębokim sentymentem, zgodnie z chlubną przegłoszoną słowianoznawstwem polskiego. Pragną jednak kłaść zawsze nacisk na bezstronność i umiar, potrzebne przede wszystkim badaniom naukowym, ale także ważne dla propagandy kulturalnej. Jednakowo obiektywny i życzliwy stosunek do wszystkich narodów pobratymczych cechują i cechować będą zawsze prace polskie na polu zbliżenia kulturalnego między Słowianami.

Henryk Batowski

KSAWERY PRUSZYŃSKI

Dzieje emigracji londyńskiej

Bieg na przełaj

To, co się rozpoczęło na emigracji w Anglii latem 1940 roku i trwać miało aż do lata 1945, do wejścia w ostateczne stadium likwidacji, można by było określić jako „bieg na przełaj”. Bieg na przełaj Sikorskiego z jednej strony; emigracji, (od upadku Francji coraz kompletniej poddanej wpływom Sikorskiemu wrogim), ze strony drugiej. Była to także wielka gra w szachy. Gra w szachy na dwóch szachownicach. Jedna była międzynarodowa — na tej Sikorski wygrywał posunięcie po posunięciu przez długie jeszcze czas. Druga, wewnętrzna, emigracyjna, polska szachownica. Powiecie zapewne, że ta ostatnia była nieważna. Stanowiła ogromną mniejszość narodu. Nie stanowiła jej doborowych sił. Być może. — Ale była wolna w swych ruchach, wypowiedziach, posunięciach. Osiadła blisko ośrodka polskiej dyspozycji — Sikorskiego, rządu. Posiadała olbrzymi wpływ. Na tej emigracyjnej szachownicy Sikorski miał odtań przegrywać punkt po punkcie, posunięcie po posunięciu, tracić pionki, wieże, lafry. I odwrotnie. Emigracyjna koalicja opozycyjna, coraz lepiej zorganizowana, coraz silniejsza, coraz bardziej napastliwa, posiadała w chwili wjazdu do Anglii niezapisaną kartę. Powoli, za każdym nowym posunięciem zabazgrzywała ją jeszcze jednym kleksem. Każdy swój „sukces” odniesiony nad Sikorskim w polskim emigracyjnym ghetku płaciła kłóskowym wydzwiekiem na terenie międzynarodowym, anglosaskim, angielskim przede wszystkim.

Przypatrzmy się bowiem, jaka była ta opozycja. Jej rdzeniem od samego początku był przede wszystkim dawny obóz rządowy. Obóz ten uważał, że Sikorski dostał się do władzy „wykorzystując kłóskę”, „przeprowadzając zamach”, „wykorzystując poparcie obcych mocarstw”. Ludziom z Rumunii — (jak nazywano ich we Francji u schyłku 1939), wydawało się na serio, że wrześniowa kłóśka nie była żadną przyczyną, dla której powinni byli władzę utracić, że gdyby nie „rumuńska zdrada” — to jest internowanie prezydenta Mościckiego, naczelnego wodza marsz. Śmigłego Rydza i premiera gen. Składkowskiego, wszyscy oni w pełnym składzie powinni byli rozpocząć urzędowanie w Paryżu, czy Londynie, czy Waszyngtonie, — i dalej cieszyć się Polską wytrawnością, doskonałością i rozumem politycznym swych rządów. O zdanie kraju nie troszczyli się dotąd, dlaczegożby mieli troszczyć się o nie teraz? Ale Rumunia internowała Mościckiego, Francja nie przyjęła Wieniawy-Długoszewskiego jako nowego prezydenta, a opinia publiczna Zachodu współ z opinią publiczną Polski wołała jedno tylko nazwisko: Sikorski, Sikorski. Trzeba było wówczas, w październiku 1939, ulec. Uratowano sobie to przynajmniej, że Sikorski został tylko premierem i naczelnym wodzem, gdy nowym prezydentem został jeden z mniej czołowych, ale też i mniej obciążonych od innych, człowiek sanacji. (W planach Sikorskiego leżało, by prezydentem został Paderewski). Ministrem spraw zagranicznych i stałym kandydatem na premiera w miejsce Sikorskiego był August Zaleski, wprowadzając osobisty wróg Becka, ale jednak minister rządów pomajowych. Z tych stron atak na Sikorskiego ruszył też wcześniej. Jeszcze w Paryżu zimą 1939—40 roku rozpoczęła go prasowa partyzantka generała Dęba-Biernackiego w kołach francuskich. Potem, w okresie upadku Francji, w dość przemyślny sposób starano się o to, aby Sikorski do Anglii się nie dostał, wreszcie, już na ziemi angielskiej, wystąpił z listem otwartym Łukasiewicz, b. ambasador polski w Paryżu, a w ślad za tym prezydent Raczkiewicz spróbował zdymisjonować Sikorskiego jako premiera. Gdy to się nie udało, przygotowali szturm dłuższy. Wojna zapowiadała się właśnie na długie lata. Mieli więc czas. Zaczęli szukać sojuszników.

Nie mieli ich szukać zbyt daleko. Od chwili upadku Francji było rzeczą jasną, że emigracja polska przechylała się bardzo silnie na prawo, toteż na prawicy należało szukać aliantów. Nieszczęście chciało, że na terenie emigracyjnym nie znalazł się żaden wybitniejszy przedstawiciel Stronnictwa Narodowego, a zwłaszcza żaden wybitny przedstawiciel tego starej szkoły, szkoły umiarkowanej, bardziej wiernej przedwojennym (sprzed 1914) panslawistycznym i antygermańskim ciągom, niż nowszym pociągami ku totalitaryzmowi, modzie kolorowych koszul, falang, gwardyj żelaznych. Masy młodzieży inteligenc-

kiej, jakie przedostały się z Polski do Francji i weszły do wojska, były podatne na te wszystkie hasła, jakie brzmiały w ostatnich latach na uniwersytetach polskich, i które, przynajmniej to sobie, nie miały zbyt wiele wspólnego z jakimkolwiek pojęciem demokracji. Stanowiły więc one podatny materiał dla hasła nacjonalistycznych. Wreszcie dawny spór Piłsudski—Dmowski przybrał zupełnie. Dla młodszego pokolenia nie zawierał on już żadnych istotnych momentów. Piłsudscy, jakich znali ci młodzi, byli już na ogół podatni na antysemityzm, mieli w swym dorobku „pacyfikację” Ukraińców w Tarnopolszczyźnie, burzenie cerkwi na Chełmszczyźnie i szereg małych jagielońskich wyczynów tego rodzaju. Narodowcy zaś posiadali już kult „silnej ręki”, mętne przymieszki radykalizmu społecznego, entuzjastyczny stosunek do armii nawet (czy raczej: zwłaszcza) wtedy gdy wkracza w dziedzinę polityki. W systemie zagranicznego myślenia jednaka była niechęć do Francji, do „zgniłych demokracji”, jednakie „obiektywne uznanie” dla osiągnięć ustrojowych państw osi. Pozostawała Rosja. W stosunku do niej Piłsudscy odziedziczyli ogólnopolską dziewnostawieczną niechęć do caratu i przenosili ją poprzez Październik 1917. Enkodem znowu nie pozostawiła zbyt niemiłych wspomnień dawna Rosja; ale zato ta nowa, krocząca pod znamiem pięcioramiennej gwiazdy i socjalistycznej rewolucji, była im ustrojowo antypatyczna. W praktyce i tu stosunek się upodobał.

Pomniejszym aliantem politycznym przeciwko Sikorskiemu byli socjaliści. Rzecz jasna, nie należało do nich umysł tej wysokiej miary, co Herman Liebermann, ani tak trzeźwy związkowiec jak Stańczyk, i w tym kierunku przeciwnicy Sikorskiego nie mieli co zapuszczać sondy. Inaczej jednak było, jeśli miano do czynienia z Adamem Pragierem lub z popularnym trybunem ludu, Ciołkoszem. Pierwszy, bez porównania niższej skali od drugiego, dał się wciągnąć najszybciej we wszelkie gry przeciwko Sikorskiemu, a — co może gorzej i dziwniejsza — w najciemniejsze przeciwko Sikorskiemu sojusze. Drugi, urażony w swych ambicjach, gotów był widzieć w Sikorskim niemal dyktatora — widząc za to jednocześnie w generale Kazimierzu Sosnkowskim najczystszej wody demokratę.

Albowiem, gdy rozgrywka i grupowanie sił dobiegało końca, potrzeba było wodza, a raczej potrzeba było sztandaru. Prawdziwym wodzem, wedle niedawnych wzorów z Polski, miała być raczej grupa ludzi, kilku, kilkunastu, otaczających człowieka wydzwigniętego na podium. Rydz-Śmigły też nie był wodzem; brakowało mu na to inteligencji. Sosnkowski nie miał być wodzem; wodzem nigdy nie może być człowiek pozbawiony najzupełniej elementu decyzji. Ale jak Śmigły, tak i Sosnkowski mógł być człowiekiem-sztandarem, trzymanym w rękę i niesionym przed tłumem, przed tłumem, który przed nim odśpiewał gwizdy, podrzuca do góry czapki i gotów jest iść za nim. Sosnkowski do tej roli nadawał się nadzwyczajnie. Miał ujmującą powierzchowność i sposób bycia, piękną postawę, mówił w sposób płynny, niepozbawiony literackiego zacięcia, umiał zagadać do oficerów, do żołnierzy, do młodzieży, do kobiet, kulturował swoje świeże arystokratyczne koneksje, ale doceniał w pełni i swoje stare popielackie przyjaźnie. Wzbierająca fala go niosła. Z każdym dniem zyskiwał na niej Sosnkowski. Wszystko, oczywiście, na szachownicy wewnętrznej. Tej polskiej.

Jeszcze w 1939 roku Sosnkowski otrzymał nader cenne stanowisko. Stał na czele tak zwanego Związku Walki Zbrojnej, potem na czele wojskowej „roboty na Kraj”, wreszcie na czele szóstego oddziału sztabu głównego, tak zwanej z kolei „szóstki”, stanowiącej w istocie jedną z rozleglejszych przybudówek „dwójki”. Organizacja ta odnosiła się zasadniczo niechętnie do planów Sikorskiego stworzenia w kraju podziemnej łączności stronnictwa, tworzenia w kraju podziemnej organizacji cywilnej obok wojskowej. W tym początkowym okresie 1939—1940 uważała, że na okres niewoli i wojny wystarczy, że będzie „tylko wojsko”. Sikorski i jego rząd nie przyjęli tej tezy i rozbudowę konspiracji cywilnej na kraj zajął się prof. Kot, od tego momentu uważany przez „dwójkę” i „szóstkę” za kłusownika, polującego na ich terenie. W dalszych etapach istniały w kraju obok siebie dwie władze uznające zwierzchność Londynu, to jest delegatura na kraj i późniejsza Armia

Krajowa, przy czym przedstawiciele wojska starali się wpływać na delegaturę, mieć w niej swoich „ludzi” i tak dalej. W każdym razie organizacja ta dała Sosnkowskiemu dwie rzeczy; dużą sieć konspiracyjno-mafijną, działającą nie tylko w kraju, ale i w Londynie, dysponowanie olbrzymimi środkami finansowymi idącymi na robotę na kraj. Konspiracja i pieniądze były stalowymi nitami łączącymi w jedno olbrzymią, szeroko rozbudowaną budowlę opozycji przeciwko Sikorskiemu. Hasła nacjonalistyczne, antysemickie, podnoszenie prestige'u dowództwa, unikanie dyskusji na tematy wrześniowe, niechęć do planów na temat powojennej przebudowy Polski, były tynkiem, cementem, betonem i wapnem, którym obudowywano tamte stalowe ściany. W czerwcu 1941, kiedy radio angielskie obwieściło światu najazd niemiecki na Rosję, gmach był gotów.

Tylko jego architekci, zajęci budową, nie zauważyli, że wzniesli go nad przepaścią.

Albowiem pomiędzy tą emigracją polską, jaka rozbiła swe namioty i podnieciła ogniska swych sporów na wyspie brytyjskiej, a mieszkańcami owej wyspy brytyjskiej, a także i całego świata na Zachodzie, panowała zasadnicza różnica, i różnica ta rosła z dniem każdym, rosła w miarę jak nastroje emigracji polskiej szłyby coraz bardziej na prawo, jak nasycały się niechęcią do demokracji, uznaniem dla osiągnięć Hitlera, antysemityzmem. Nastroje te rosły, bo czując je w zarodku, różni ludzie i różne grupy podniecały je, aby potem wziąć w swe żagle ów wiatr nie przeczuwając, że połamie im ich marne żagle. Nastroje te rosły, bo wyniesiono je po części z Polski, bo, niestety, zabrakło zdrowszego klimatu Francji, z jej polską emigracją robotniczą, bo zbyt wiele znalazło się tu elementu, który musiał bronić i apoteozować stosunki przedwrześniowe polskie, bo był w tej Polsce starosta, wojewoda, ministrem, pośtem, dygnitarzem reżymu, a zatem, fatalną koleją losu musiał bronić i reżymy pokrewne, czy powinowate. Ale nastroje społeczeństwa angielskiego były całkiem inne. Masy angielskie nie poszły do wojny dlatego, że wierzyły — w 1939 roku — że Wielka Brytania jest zagrożona. Nie przeczuwały tego zagrożenia wtedy, tak jak w 1940 roku nie przeczuwały znowu, jaki byłby los Anglików, gdyby Niemcom udało się inwazja. Ale te masy były wychowane w duchu humanitarnym, demokratycznym, wolnościowym, masy te przejęły prawdziwie i głęboko los Żydów w Niemczech, ruiny Warszawy po wrześniu, niewola Czechów i gwałcenie praw ludzkich, uprawiane przez Trzecią Rzeszę. Co innego rząd; co innego masy. Masy angielskie, masy kraju przemysłowego, robotniczego, posiadającego związki zawodowe nie od lat kilkunastu, czy kilkudziesięciu, ale od ponad stu, były dalej lewicowe. Nawet prawica angielska, nawet konserwatyści w tym kraju, są ludźmi znacznie bardziej „lewicowymi”, niż nasza przeciętna prawica. Jednym z najlepszych objawów uczuć mas angielskich było wydarzenie zapisane w statystykach produkcji przemysłowej wojennej. Produkcja czołgów, samolotów i sprzętu wojennego była niska w 1939, niska w 1940, zwykła była bardzo słabo w czasie jesieni 1940, gdy przecież Anglii groziła inwazja, podniosła się zaś (a raczej skoczyła do góry), niebawem po zagrożeniu Rosji, po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej, wtedy, kiedy zajęty był Kijów, Smoleńsk, Ryga, zagrożony Leningrad, Moskwa, Odessa. Robotnik angielski pracował wydajniej wtedy, gdy zobaczył, że zagrożony jest Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich, a nie tylko Imperium Brytyjskie, wtedy kiedy wiedział, że jego czołgi, samoloty i działa są potrzebne nie tylko dla obrony Northolt, Dowru, Newark czy Dewonu, ale że pójdą morzem do Archangielska, a stamtąd spłyną do lasów brzozywych Karelii, na czarnoziem Czernichowszczyzny, na szerokie rozłogi Ukrainy. Jeżeli w innych krajach wojna wzmagala nacjonalizm, poczucie narodowe, patriotyzm, to w Anglii — w nastrojach mas w każdym razie — wzmagala ona poczucie międzynarodowe, braterstwo ludów, poczucie socjalne, i ten stary kraj szedł, idąc od Chamberlaina poprzez Churchilla, kończąc teraz na Attlee i Bevinie, to jest na Labour Party, to jest na socjalistach, zmierzał wyraźnie na lewo. Polski stateczek emigracyjny opinii nie zważał wcale na to. Długo czas nawet tego nie dostrzegł. Zmierzał wyraźnie na prawo.

Los książki francuskiej

Sprawa książki, od której zależy przecież rozwój życia umysłowego, nie tylko u nas jest tak nagła i nie tylko u nas jej los niepokoi. Nie może to być dla nas pociechą, że w zmartwieniu o książkę solidarna jest cała polityczna Europa. Najwyższe zainteresowanie budzi u nas jednak wymiar trudności, z jakimi inne społeczeństwa się zmagają, i środki, jakie do zwalczania tych trudności stosują. A sprawa książki we Francji jest szczególnie nam bliska, chociażby ze względu na zapotrzebowanie na produkty francuskiej myśli i wyobraźni na polskim rynku kulturalnym. Jak prędko książki francuskie będą nam dostępne i czy tylko przekłady natury komunikacyjnej żywe związki z Zachodem nam uniemożliwiają — oto pytanie, na które odpowiedź interesuje ogół.

Paryskie „Nouvelles Littéraires” w formie ankiet, skierowane do wydawców, omówiły tę sprawę szczegółowo i przedstawiły bolesny stan książki francuskiej w chwili obecnej. Warunki okupacyjne we Francji, jakkolwiek nie można ich porównać z warunkami, jakie wytworzyła eksterminacyjna polityka niemiecka w Polsce, zahamowały ruch wydawniczy. Choćby Abteiling Propaganda nie zakazała wydawania klasyków i dzieł naukowych, to jednak począwszy od 1941 roku przez zastosowanie zasady reglamentacyjnej na rynku papieru uniemożliwiono praktycznie pracę wydawnictw. Wymowa liczb jest przekonywująca. Jeśli zapotrzebowanie na papier dzienny wynosiło w czasach normalnych 3.500 ton miesięcznie, to przydziały Vichy wynosiły w roku 1942 — 500, w 1943 — 134, a w 1944 — 33 tony. Jeżeli uwzględnimy nawet ważny szczegół, że 50% przedwojennej produkcji wydawniczej przeznaczona było na eksport, to i tak przydział papieru w 1943 r. stanowił 4% normalnego zapotrzebowania, świadcząco dostatecznie wyraźnie o smutnym losie francuskiej książki. A trzeba dodać, że w czasie wojny czytelnictwo we Francji podobnie jak u nas wzrosło, i — co nie jest mało ważne — Niemcy, mimo przekonania o swojej wyższości, książki francuskie masowo wywozili.

Stan, w jakim się obecnie znajduje książka, wydawcy francuscy nazywają ruiną. Składy są wyczerpane i najbardziej podstawowych dzieł brak na rynku księgarskim. Przegląd tych braków jest wymowny.

W „Wydawnictwie Uniwersyteckim” („Presses Universitaires”) jest całkowite wyczerpanie 4000 pozycji, z czego 1500 stanowią dzieła niezbędne dla studentów. (Poza tym z kolekcji historycznej oraz z serii „Narody i cywilizacje”) nie pozostawia nawet śladu. Armand Colin nie posiada zupełnie takich podstawowych podręczników humanistyki jak np. „Historia języka francuskiego” Bruneta, U Albina Michela serie naukowe są wybrakowane (z pięćdziesięciotomowej kolekcji „Rozwój ludzkości”) tylko 6 książek jest na składzie. Masson, wydawca dzieł i podręczników medycznych, nie ma ani jednego egzemplarza książki tak niezbędnych w praktyce lekarskiej jak np. „Podręcznik patologii chirurgicznej”. Szczególnie ciężka sytuacja jest w dziedzinie książek szkolnych. Wszystkie dawne nakłady są już wyczerpane. Wiele książek (z nauki historii np.) zostało wycofanych i przez okupantów zniszczonych. Z Alzacji książki francuskie zostały całkowicie usunięte. Rok szkolny na francuskich ziemiach odzyskanych rozpoczął się prawie bez podręczników. To samo z matmy zmianami odnosi się do wydawnictw literatury pięknej, klasyków przede wszystkim.

Według obliczeń wydawców, podniesienie książki francuskiej wymagałoby dziesięcioletniej intensywniej, planowej akcji wydawniczej. A ten dziesięcioletni plan odbudowy nie uwzględnia książek nowych.

A tymczasem nie tylko nie rozpoczęto realizowania „planu odbudowy”, lecz nawet czas pracuje przeciwko niemu. Brak papieru uniemożliwia podjęcie wszelkiej wydawniczej aktywności. Książki, wobec niemożności realizowania nawet najbardziej minimalistycznego planu wydawniczego, ukazują się od wypadku do wypadku. Wstrzymano wydawanie tych kolekcji, które nawet w ciężkich warunkach okupacyjnych były kontynuowane (Albin Michel uniemożliwił np. „Historię medycyny”). Wszystko robią się o brak papieru. Książki nowe ukazują się w ilości nie wystarczającej na pokrycie zapotrzebowania samego Paryża (5000—6000 egzemplarzy), a prace młodych, nieznanych jeszcze pisarzy nie ukazują się prawie wcale. Całe niemal życie literackie Francji skupia się, podobnie jak i u nas, w periodykach.

Jeśli chodzi o papier, sytuacja jest tak trudna, że wydawcy nie potrafili przedstawić jakiegokolwiek wyraźnej propozycji. Padają głosy o konieczności zawarcia umów papierniczych ze Szwecją, Szwajcarią, a nawet... z Polską, co, jak dobrze wiemy, nie uratowałoby francuskiej książki. Wydawcy domagają się opieki państwa chociażby w tym małym zakresie, jaki rzeczywistość aktualna stwarza. Krytykuje się nadmiar wydawnictw propagandowych w związku z wyborami, stawia się żądanie ograniczenia biurokracji, która pożera tyle ton za wiele (podania i załączniki w 8 egzemplarzach!). Argumentem wydawców jest stwierdzenie, że obecna sytuacja jest groźna dla przyszłości kultury francuskiej, jej atrakcyjności i zasięgu.

Choćby wydawać się to może (a z naszego miejsca w Europie w szczególności) przesada, to jednak wojna przez izolowanie ciążących do kultury francuskiej społeczeństw od francuskiej książki, mimo że zastrzyła tęsknotę za nią, to jednak zmusiła je do zaspokajania potrzeb wytworami kultury praktycznie dostępnych. Nawet tak kulturalnie bliskie Francji Szwajcaria i Kanada zapotrzebowania swoje realizowały u Anglosasów. Jest to obecnie tym bardziej groźne, że już przed wojną atrakcyjność kultury francuskiej, mierzona poczytnością francuskiej książki zmniejszała się na korzyść kultury anglosaskiej. Badania statystyczne przeprowadzone we wszystkich wielkich bibliotekach na obu półkulach wykazały, że pierwsza miejsce pod względem poczytności już w 1938 roku zajęła książka angielska. Dalsza nieobecność francuskiej książki, przy jednoczesnym, wywołanym warunkami politycznymi wzroście atrakcyjności kultury anglosaskiej, stwarza istotnie dla Francji warunki trudne. Wydawcy szczególnie ostro to odczuwają, gdyż ich zwykły, materialny byt jest zagrożony. Gallimard (NRF) z niepokojem stwierdza, że w krajach bogatych w papier (Ameryka przede wszystkim) drukowane są francuskie przekłady książek angielskich i amerykańskich autorów przeznaczonych dla Francji, która będzie zmuszona z braku własnych wydawnictw książki te importować. Inicjatywa tak dalece wyszła z rąk wydawców francuskich, że klasyki literatury jak Montaigne, Descartes czy Pascal wydawali są w oryginalnej w Szwajcarii i Ameryce, by jako towary objęte umową handlową powrócić do Francji.

Jesteśmy jednym z narodów najbardziej wrażliwych na kulturę francuską. Izolacja wojenna spotęgowała naszą tęsknotę do francuskiej książki i teraz po zakończeniu wojny oczekujemy jej bardzo niecierpliwie. Naszych potrzeb kulturalnych nie mogliśmy w czasie tej wojny zaspokajać w ogóle, gdyż kulturę, która nam była praktycznie dostępna, poznawaliśmy od strony najbardziej nieudolnego wyrażenia. Choćby kulturę anglosaską wysoko cenimy, to jednak nie ma powodu, by stała się nam ona bliższa i bardziej pociągająca od francuskiej. Warunki polityczne tej wojny i jej następstw, jeśli nas bowiem zbliżyły do czegośkolwiek, to do odczuwania i słusznego oceniania wysokich wartości kultury radzieckiej. I to jest nasz sukces z tej wojny. Jesteśmy zaskoczni, że kultura narodowa, poznawaliśmy od strony najbardziej nieudolnego wyrażenia. Choćby kulturę anglosaską wysoko cenimy, to jednak nie ma powodu, by stała się nam ona bliższa i bardziej pociągająca od francuskiej. Warunki polityczne tej wojny i jej następstw, jeśli nas bowiem zbliżyły do czegośkolwiek, to do odczuwania i słusznego oceniania wysokich wartości kultury radzieckiej. I to jest nasz sukces z tej wojny. Jesteśmy zaskoczni, że kultura narodowa, poznawaliśmy od strony najbardziej nieudolnego wyrażenia. Choćby kulturę anglosaską wysoko cenimy, to jednak nie ma powodu, by stała się nam ona bliższa i bardziej pociągająca od francuskiej. Warunki polityczne tej wojny i jej następstw, jeśli nas bowiem zbliżyły do czegośkolwiek, to do odczuwania i słusznego oceniania wysokich wartości kultury radzieckiej. I to jest nasz sukces z tej wojny. Jesteśmy zaskoczni, że kultura narodowa, poznawaliśmy od strony najbardziej nieudolnego wyrażenia. Choćby kulturę anglosaską wysoko cenimy, to jednak nie ma powodu, by stała się nam ona bliższa i bardziej pociągająca od francuskiej. Warunki polityczne tej wojny i jej następstw, jeśli nas bowiem zbliżyły do czegośkolwiek, to do odczuwania i słusznego oceniania wysokich wartości kultury radzieckiej. I to jest nasz sukces z tej wojny. Jesteśmy zaskoczni, że kultura narodowa, poznawaliśmy od strony najbardziej nieudolnego wyrażenia. Choćby kulturę anglosaską wysoko cenimy, to jednak nie ma powodu, by stała się nam ona bliższa i bardziej pociągająca od francuskiej. Warunki polityczne tej wojny i jej następstw, jeśli nas bowiem zbliżyły do czegośkolwiek, to do odczuwania i słusznego oceniania wysokich wartości kultury radzieckiej. I to jest nasz sukces z tej wojny. Jesteśmy zaskoczni, że kultura narodowa, poznawaliśmy od strony najbardziej nieudolnego wyrażenia. Choćby kulturę anglosaską wysoko cenimy, to jednak nie ma powodu, by stała się nam ona bliższa i bardziej pociągająca od francuskiej. Warunki polityczne tej wojny i jej następstw, jeśli nas bowiem zbliżyły do czegośkolwiek, to do odczuwania i słusznego oceniania wysokich wartości kultury radzieckiej. I to jest nasz sukces z tej wojny. Jesteśmy zaskoczni, że kultura narodowa, poznawaliśmy od strony najbardziej nieudolnego wyrażenia. Choćby kulturę anglosaską wysoko cenimy, to jednak nie ma powodu, by stała się nam ona bliższa i bardziej pociągająca od francuskiej. Warunki polityczne tej wojny i jej następstw, jeśli nas bowiem zbliżyły do czegośkolwiek, to do odczuwania i słusznego oceniania wysokich wartości kultury radzieckiej. I to jest nasz sukces z tej wojny. Jesteśmy zaskoczni, że kultura narodowa, poznawaliśmy od strony najbardziej nieudolnego wyrażenia. Choćby kulturę anglosaską wysoko cenimy, to jednak nie ma powodu, by stała się nam ona bliższa i bardziej pociągająca od francuskiej. Warunki polityczne tej wojny i jej następstw, jeśli nas bowiem zbliżyły do czegośkolwiek, to do odczuwania i słusznego oceniania wysokich wartości kultury radzieckiej. I to jest nasz sukces z tej wojny. Jesteśmy zaskoczni, że kultura narodowa, poznawaliśmy od strony najbardziej nieudolnego wyrażenia. Choćby kulturę anglosaską wysoko cenimy, to jednak nie ma powodu, by stała się nam ona bliższa i bardziej pociągająca od francuskiej. Warunki polityczne tej wojny i jej następstw, jeśli nas bowiem zbliżyły do czegośkolwiek, to do odczuwania i słusznego oceniania wysokich wartości kultury radzieckiej. I to jest nasz sukces z tej wojny. Jesteśmy zaskoczni, że kultura narodowa, poznawaliśmy od strony najbardziej nieudolnego wyrażenia. Choćby kulturę anglosaską wysoko cenimy, to jednak nie ma powodu, by stała się nam ona bliższa i bardziej pociągająca od francuskiej. Warunki polityczne tej wojny i jej następstw, jeśli nas bowiem zbliżyły do czegośkolwiek, to do odczuwania i słusznego oceniania wysokich wartości kultury radzieckiej. I to jest nasz sukces z tej wojny. Jesteśmy zaskoczni, że kultura narodowa, poznawaliśmy od strony najbardziej nieudolnego wyrażenia. Choćby kulturę anglosaską wysoko cenimy, to jednak nie ma powodu, by stała się nam ona bliższa i bardziej pociągająca od francuskiej. Warunki polityczne tej wojny i jej następstw, jeśli nas bowiem zbliżyły do czegośkolwiek, to do odczuwania i słusznego oceniania wysokich wartości kultury radzieckiej. I to jest nasz sukces z tej wojny. Jesteśmy zaskoczni, że kultura narodowa, poznawaliśmy od strony najbardziej nieudolnego wyrażenia. Choćby kulturę anglosaską wysoko cenimy, to jednak nie ma powodu, by stała się nam ona bliższa i bardziej pociągająca od francuskiej. Warunki polityczne tej wojny i jej następstw, jeśli nas bowiem zbliżyły do czegośkolwiek, to do odczuwania i słusznego oceniania wysokich wartości kultury radzieckiej. I to jest nasz sukces z tej wojny. Jesteśmy zaskoczni, że kultura narodowa, poznawaliśmy od strony najbardziej nieudolnego wyrażenia. Choćby kulturę anglosaską wysoko cenimy, to jednak nie ma powodu, by stała się nam ona bliższa i bardziej pociągająca od francuskiej. Warunki polityczne tej wojny i jej następstw, jeśli nas bowiem zbliżyły do czegośkolwiek, to do odczuwania i słusznego oceniania wysokich wartości kultury radzieckiej. I to jest nasz sukces z tej wojny. Jesteśmy zaskoczni, że kultura narodowa, poznawaliśmy od strony najbardziej nieudolnego wyrażenia. Choćby kulturę anglosaską wysoko cenimy, to jednak nie ma powodu, by stała się nam ona bliższa i bardziej pociągająca od francuskiej. Warunki polityczne tej wojny i jej następstw, jeśli nas bowiem zbliżyły do czegośkolwiek, to do odczuwania i słusznego oceniania wysokich wartości kultury radzieckiej. I to jest nasz sukces z tej wojny. Jesteśmy zaskoczni, że kultura narodowa, poznawaliśmy od strony najbardziej nieudolnego wyrażenia. Choćby kulturę anglosaską wysoko cenimy, to jednak nie ma powodu, by stała się nam ona bliższa i bardziej pociągająca od francuskiej. Warunki polityczne tej wojny i jej następstw, jeśli nas bowiem zbliżyły do czegośkolwiek, to do odczuwania i słusznego oceniania wysokich wartości kultury radzieckiej. I to jest nasz sukces z tej wojny. Jesteśmy zaskoczni, że kultura narodowa, poznawaliśmy od strony najbardziej nieudolnego wyrażenia. Choćby kulturę anglosaską wysoko cenimy, to jednak nie ma powodu, by stała się nam ona bliższa i bardziej pociągająca od francuskiej. Warunki polityczne tej wojny i jej następstw, jeśli nas bowiem zbliżyły do czegośkolwiek, to do odczuwania i słusznego oceniania wysokich wartości kultury radzieckiej. I to jest nasz sukces z tej wojny. Jesteśmy zaskoczni, że kultura narodowa, poznawaliśmy od strony najbardziej nieudolnego wyrażenia. Choćby kulturę anglosaską wysoko cenimy, to jednak nie ma powodu, by stała się nam ona bliższa i bardziej pociągająca od francuskiej. Warunki polityczne tej wojny i jej następstw, jeśli nas bowiem zbliżyły do czegośkolwiek, to do odczuwania i słusznego oceniania wysokich wartości kultury radzieckiej. I to jest nasz sukces z tej wojny. Jesteśmy zaskoczni, że kultura narodowa, poznawaliśmy od strony najbardziej nieudolnego wyrażenia. Choćby kulturę anglosaską wysoko cenimy, to jednak nie ma powodu, by stała się nam ona bliższa i bardziej pociągająca od francuskiej. Warunki polityczne tej wojny i jej następstw, jeśli nas bowiem zbliżyły do czegośkolwiek, to do odczuwania i słusznego oceniania wysokich wartości kultury radzieckiej. I to jest nasz sukces z tej wojny. Jesteśmy zaskoczni, że kultura narodowa, poznawaliśmy od strony najbardziej nieudolnego wyrażenia. Choćby kulturę anglosaską wysoko cenimy, to jednak nie ma powodu, by stała się nam ona bliższa i bardziej pociągająca od francuskiej. Warunki polityczne tej wojny i jej następstw, jeśli nas bowiem zbliżyły do czegośkolwiek, to do odczuwania i słusznego oceniania wysokich wartości kultury radzieckiej. I to jest nasz sukces z tej wojny. Jesteśmy zaskoczni, że kultura narodowa, poznawaliśmy od strony najbardziej nieudolnego wyrażenia. Choćby kulturę anglosaską wysoko cenimy, to jednak nie ma powodu, by stała się nam ona bliższa i bardziej pociągająca od francuskiej. Warunki polityczne tej wojny i jej następstw, jeśli nas bowiem zbliżyły do czegośkolwiek, to do odczuwania i słusznego oceniania wysokich wartości kultury radzieckiej. I to jest nasz sukces z tej wojny. Jesteśmy zaskoczni, że kultura narodowa, poznawaliśmy od strony najbardziej nieudolnego wyrażenia. Choćby kulturę anglosaską wysoko cenimy, to jednak nie ma powodu, by stała się nam ona bliższa i bardziej pociągająca od francuskiej. Warunki polityczne tej wojny i jej następstw, jeśli nas bowiem zbliżyły do czegośkolwiek, to do odczuwania i słusznego oceniania wysokich wartości kultury radzieckiej. I to jest nasz sukces z tej wojny. Jesteśmy zaskoczni, że kultura narodowa, poznawaliśmy od strony najbardziej nieudolnego wyrażenia. Choćby kulturę anglosaską wysoko cenimy, to jednak nie ma powodu, by stała się nam ona bliższa i bardziej pociągająca od francuskiej. Warunki polityczne tej wojny i jej następstw, jeśli nas bowiem zbliżyły do czegośkolwiek, to do odczuwania i słusznego oceniania wysokich wartości kultury radzieckiej. I to jest nasz sukces z tej wojny. Jesteśmy zaskoczni, że kultura narodowa, poznawaliśmy od strony najbardziej nieudolnego wyrażenia. Choćby kulturę anglosaską wysoko cenimy, to jednak nie ma powodu, by stała się nam ona bliższa i bardziej pociągająca od francuskiej. Warunki polityczne tej wojny i jej następstw, jeśli nas bowiem zbliżyły do czegośkolwiek, to do odczuwania i słusznego oceniania wysokich wartości kultury radzieckiej. I to jest nasz sukces z tej wojny. Jesteśmy zaskoczni, że kultura narodowa, poznawaliśmy od strony najbardziej nieudolnego wyrażenia. Choćby kulturę anglosaską wysoko cenimy, to jednak nie ma powodu, by stała się nam ona bliższa i bardziej pociągająca od francuskiej. Warunki polityczne tej wojny i jej następstw, jeśli nas bowiem zbliżyły do czegośkolwiek, to do odczuwania i słusznego oceniania wysokich wartości kultury radzieckiej. I to jest nasz sukces z tej wojny. Jesteśmy zaskoczni, że kultura narodowa, poznawaliśmy od strony najbardziej nieudolnego wyrażenia. Choćby kulturę anglosaską wysoko cenimy, to jednak nie ma powodu, by stała się nam ona bliższa i bardziej pociągająca od francuskiej. Warunki polityczne tej wojny i jej następstw, jeśli nas bowiem zbliżyły do czegośkolwiek, to do odczuwania i słusznego oceniania wysokich wartości kultury radzieckiej. I to jest nasz sukces z tej wojny. Jesteśmy zaskoczni, że kultura narodowa, poznawaliśmy od strony najbardziej nieudolnego wyrażenia. Choćby kulturę anglosaską wysoko cenimy, to jednak nie ma powodu, by stała się nam ona bliższa i bardziej pociągająca od francuskiej. Warunki polityczne tej wojny i jej następstw, jeśli nas bowiem zbliżyły do czegośkolwiek, to do odczuwania i słusznego oceniania wysokich wartości kultury radzieckiej. I to jest nasz sukces z tej wojny. Jesteśmy zaskoczni, że kultura narodowa, poznawaliśmy od strony najbardziej nieudolnego wyrażenia. Choćby kulturę anglosaską wysoko cenimy, to jednak nie ma powodu, by stała się nam ona bliższa i bardziej pociągająca od francuskiej. Warunki polityczne tej wojny i jej następstw, jeśli nas bowiem zbliżyły do czegośkolwiek, to do odczuwania i słusznego oceniania wysokich wartości kultury radzieckiej. I to jest nasz sukces z tej wojny. Jesteśmy zaskoczni, że kultura narodowa, poznawaliśmy od strony najbardziej nieudolnego wyrażenia. Choćby kulturę anglosaską wysoko cenimy, to jednak nie ma powodu, by stała się nam ona bliższa i bardziej pociągająca od francuskiej. Warunki polityczne tej wojny i jej następstw, jeśli nas bowiem zbliżyły do czegośkolwiek, to do odczuwania i słusznego oceniania wysokich wartości kultury radzieckiej. I to jest nasz sukces z tej wojny. Jesteśmy zaskoczni, że kultura narodowa, poznawaliśmy od strony najbardziej nieudolnego wyrażenia. Choćby kulturę anglosaską wysoko cenimy, to jednak nie ma powodu, by stała się nam ona bliższa i bardziej pociągająca od francuskiej. Warunki polityczne tej wojny i jej następstw, jeśli nas bowiem zbliżyły do czegośkolwiek, to do odczuwania i słusznego oceniania wysokich wartości kultury radzieckiej. I to jest nasz sukces z tej wojny. Jesteśmy zaskoczni, że kultura narodowa, poznawaliśmy od strony najbardziej nieudolnego wyrażenia. Choćby kulturę anglosaską wysoko cenimy, to jednak nie ma powodu, by stała się nam ona bliższa i bardziej pociągająca od francuskiej. Warunki polityczne tej wojny i jej następstw, jeśli nas bowiem zbliżyły do czegośkolwiek, to do odczuwania i słusznego oceniania wysokich wartości kultury radzieckiej. I to jest nasz sukces z tej wojny. Jesteśmy zaskoczni, że kultura narodowa, poznawaliśmy od strony najbardziej nieudolnego wyrażenia. Choćby kulturę anglosaską wysoko cenimy, to jednak nie ma powodu, by stała się nam ona bliższa i bardziej pociągająca od francuskiej. Warunki polityczne tej wojny i jej następstw, jeśli nas bowiem zbliżyły do czegośkolwiek, to do odczuwania i słusznego oceniania wysokich wartości kultury radzieckiej. I to jest nasz sukces z tej wojny. Jesteśmy zaskoczni, że kultura narodowa, poznawaliśmy od strony najbardziej nieudolnego wyrażenia. Choćby kulturę anglosaską wysoko cenimy, to jednak nie ma powodu, by stała się nam ona bliższa i bardziej pociągająca od francuskiej. Warunki polityczne tej wojny i jej następstw, jeśli nas bowiem zbliżyły do czegośkolwiek, to do odczuwania i słusznego oceniania wysokich wartości kultury radzieckiej. I to jest nasz sukces z tej wojny. Jesteśmy zaskoczni, że kultura narodowa, poznawaliśmy od strony najbardziej nieudolnego wyrażenia. Choćby kulturę anglosaską wysoko cenimy, to jednak nie ma powodu, by stała się nam ona bliższa i bardziej pociągająca od francuskiej. Warunki polityczne tej wojny i jej następstw, jeśli nas bowiem zbliżyły do czegośkolwiek, to do odczuwania i słusznego oceniania wysokich wartości kultury radzieckiej. I to jest nasz sukces z tej wojny. Jesteśmy zaskoczni, że kultura narodowa, poznawaliśmy od strony najbardziej nieudolnego wyrażenia. Choćby kulturę anglosaską wysoko cenimy, to jednak nie ma powodu, by stała się nam ona bliższa i bardziej pociągająca od francuskiej. Warunki polityczne tej wojny i jej następstw, jeśli nas bowiem zbliżyły do czegośkolwiek, to do odczuwania i słusznego oceniania wysokich wartości kultury radzieckiej. I to jest nasz sukces z tej wojny. Jesteśmy zaskoczni, że kultura narodowa, poznawaliśmy od strony najbardziej nieudolnego wyrażenia. Choćby kulturę anglosaską wysoko cenimy, to jednak nie ma powodu, by stała się nam ona bliższa i bardziej pociągająca od francuskiej. Warunki polityczne tej wojny i jej następstw, jeśli nas bowiem zbliżyły do czegośkolwiek, to do odczuwania i słusznego oceniania wysokich wartości kultury radzieckiej. I to jest nasz sukces z tej wojny. Jesteśmy zaskoczni, że kultura narodowa, poznawaliśmy od strony najbardziej nieudolnego wyrażenia. Choćby kulturę anglosaską wysoko cenimy, to jednak nie ma powodu, by stała się nam ona bliższa i bardziej pociągająca od francuskiej. Warunki polityczne tej wojny i jej następstw, jeśli nas bowiem zbliżyły do czegośkolwiek, to do odczuwania i słusznego oceniania wysokich wartości kultury radzieckiej. I to jest nasz sukces z tej wojny. Jesteśmy zaskoczni, że kultura narodowa, poznawaliśmy od strony najbardziej nieudolnego wyrażenia. Choćby kulturę anglosaską wysoko cenimy, to jednak nie ma powodu, by stała się nam ona bliższa i bardziej pociągająca od francuskiej. Warunki polityczne tej wojny i jej następstw, jeśli nas bowiem zbliżyły do czegośkolwiek, to do odczuwania i słusznego oceniania wysokich wartości kultury radzieckiej. I to jest nasz sukces z tej wojny. Jesteśmy zaskoczni, że kultura narodowa, poznawaliśmy od strony najbardziej nieudolnego wyrażenia. Choćby kulturę anglosaską wysoko cenimy, to jednak nie ma powodu, by stała się nam ona bliższa i bardziej pociągająca od francuskiej. Warunki polityczne tej wojny i jej następstw, jeśli nas bowiem zbliżyły do czegośkolwiek, to do odczuwania i słusznego oceniania wysokich wartości kultury radzieckiej. I to jest nasz sukces z tej wojny. Jesteśmy zaskoczni, że kultura narodowa, poznawaliśmy od strony najbardziej nieudolnego wyrażenia. Choćby kulturę anglosaską wysoko cenimy, to jednak nie ma powodu, by stała się nam ona bliższa i bardziej pociągająca od francuskiej. Warunki polityczne tej wojny i jej następstw, jeśli nas bowiem zbliżyły do czegośkolwiek, to do odczuwania i słusznego oceniania wysokich wartości kultury radzieckiej. I to jest nasz sukces z tej wojny. Jesteśmy zaskoczni, że kultura narodowa, poznawaliśmy od strony najbardziej nieudolnego wyrażenia. Choćby kulturę anglosaską wysoko cenimy, to jednak nie ma powodu, by stała się nam ona bliższa i bardziej pociągająca od francuskiej. Warunki polityczne tej wojny i jej następstw, jeśli nas bowiem zbliżyły do czegośkolwiek, to do odczuwania i słusznego oceniania wysokich wartości kultury radzieckiej. I to jest nasz sukces z tej wojny. Jesteśmy zaskoczni, że kultura narodowa, poznawaliśmy od strony najbardziej nieudolnego wyrażenia. Choćby kulturę anglosaską wysoko cenimy, to jednak nie ma powodu, by stała się nam ona bliższa i bardziej pociągająca od francuskiej. Warunki polityczne tej wojny i jej następstw, jeśli nas bowiem zbliżyły do czegośkolwiek, to do odczuwania i słusznego oceniania wysokich wartości kultury radzieckiej. I to jest nasz sukces z tej wojny. Jesteśmy zaskoczni, że kultura narodowa, poznawaliśmy od strony najbardziej nieudolnego wyrażenia. Choćby kulturę anglosaską wysoko cenimy, to jednak nie ma powodu, by stała się nam ona bliższa i bardziej pociągająca od francuskiej. Warunki polityczne tej wojny i jej następstw, jeśli nas bowiem zbliżyły do czegośkolwiek, to do odczuwania i słusznego oceniania wysokich wartości kultury radzieckiej. I to jest nasz sukces z tej wojny. Jesteśmy zaskoczni, że kultura narodowa, poznawaliśmy od strony najbardziej nieudolnego wyrażenia. Choćby kulturę anglosaską wysoko cenimy, to jednak nie ma powodu, by stała się nam ona bliższa i bardziej pociągająca od francuskiej. Warunki polityczne tej wojny i jej następstw, jeśli nas bowiem zbliżyły do czegośkolwiek, to do odczuwania i słusznego oceniania wysokich wartości kultury radzieckiej. I to jest nasz sukces z tej wojny. Jesteśmy zaskoczni, że kultura narodowa, poznawaliśmy od strony najbardziej nieudolnego wyrażenia. Choćby kulturę anglosaską wysoko cenimy, to jednak nie ma powodu, by stała się nam ona bliższa i bardziej pociągająca od francuskiej. Warunki polityczne tej wojny i jej następstw, jeśli nas bowiem zbliżyły do czegośkolwiek, to do odczuwania i słusznego oceniania wysokich wartości kultury radzieckiej. I to jest nasz sukces z tej wojny. Jesteśmy zaskoczni, że kultura narodowa, poznawaliśmy od strony najbardziej nieudolnego wyrażenia. Choćby kulturę anglosaską wysoko cenimy, to jednak nie ma powodu, by stała się nam ona bliższa i bardziej pociągająca od francuskiej. Warunki polityczne tej wojny i jej następstw, jeśli nas bowiem zbliżyły do czegośkolwiek, to do odczuwania i słusznego oceniania wysokich wartości kultury radzieckiej. I to jest nasz sukces z tej wojny. Jesteśmy zaskoczni, że kultura narodowa, poznawaliśmy od strony najbardziej nieudolnego wy

Wola wymiernego kształtu



JULIAN PRYBOS

Julian Przybos. Miejsce na Ziemi. (Kraków). Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”, 1945; str. 159 i 5 n.

„Miejsce na Ziemi” Juliana Przybosa nie przypomina „wierszy zebranych”, jakie po pewnym okresie działalności poetyckiej dawał Tuwim, Wierzyński, Słonimski czy Iwaszkiewicz. Nie tyle bowiem otwiera drogę poetycką Przybosa, ile osiągnięty kanon jego poezji. Kanon, w imię którego droga ta ma być przekreślona w etapach dojścia, jakie dla Przybosa nie są już dzisiaj istotne.

„Utwory, które do zbioru nie weszły, skazują na zapomnienie” — czytamy w przedstowiu. Na zapomnienie zostały skazane przede wszystkim dwa pierwsze tomy Przybosa „Słuby” (1925), „Oburącz” (1926). Z 24 wierszy tych zbiorów zostały tylko strzępy: „Dachy”, „Cieście”, „Dynamo” ze „Słub”, „Na budowie mostu na Wiśle” i „Lot Orlińskiego”. „Oburącz”. Utwory zachowane również nie wszystkie weszły w swojej dawniejszej redakcji. Przykładem „Na budowie mostu na Wiśle”. Podobnie dyskwalifikacji uległ tom „Sponad” (1930). Cykle późniejsze także nie zostały odtworzone w swoim porządku wydawania. Tomowi „W głąb las” (1932) daje poeta swoją aprobatę, lecz rozbiła go i przemieszcza w czasie, podobnie jak „Równanie serca” (1938). Kiedy dodać, że zbiór zawiera ponadto nieznaną dotąd cykl erotyczny „Do ciebie o mnie”, wypada rzec, że ta świadoma wola konstrukcji, która zawsze rządziła liryką Przybosa, zapanowała tym razem na temacie najszerszym — na całych latach dwudziestu jego pisarstwa.

Poeta ma do tego prawo. Krytykowi jednak, który ma ocenić zamknięty już „krąg poetyckiego doświadczenia” Przybosa, nie wolno temu prawu ulec, tym więcej, że krąg ten bynajmniej nie jest wykreślony jednym, jedynym promieniem, jak pragnie go Przybos widzieć. Składa się z dwóch kół dosyć odmiennych — tylko ich dojrzały kanon czysto formalny, ich centrum kręjące nie ulega zmianie, natomiast długość promienia budowana jest, ujrzymy to niżej, według odmiennych doświadczeń i wyników uczuciowych. Najpierw określmy to centrum. Poezja Przybosa budowana jest na dwóch, najgrubiej biorąc, odmiennych założeniach. Wygląd tej poezji jest konstruktywny i intelektualny. Poeta nie pozwala liryzmowi wykraczać poza brzozy konstrukcji, której odczytanie dokonuje się przede wszystkim przez zrozumienie sensu, celu danego układu, a nie tyle jego jakości lirycznej. Lecz w ramie intelektualnej nie zawiera się u Przybosa treść intelektualistyczna, refleksja czy filozofowanie. Mieści się materiał, który musiałby prowadzić do wyników innych od tych, jakie daje Przybos, gdyby już w swoim powieściu nie uległ obróbce przez tendencję pierwszą.

Tym materiałem jest bowiem obraz liryczny, w jego wszelkim kształcie, od metafory po notację opisową. Przegrana jest wypowiedź bezpośrednia, zarówno liryczna jak refleksyjna. Wiadomo, że konsekwencja obrazu bywa zazwyczaj obrazowość, swoboda wizyjna czy przenikanie obrazów zagestowanych w mowę symboliczną. Tymczasem od tej konsekwencji Przybos jest jak najdalej. Dlatego, ponieważ panuje nad nim imperatyw konstrukcji, ten, o którym poeta pisze w pełnym samowiedzy zdaniu: „moje pisarstwo... osadziłem tylko na nieobliczalnym wzruszeniu, ile na woli wymiernego kształtu”. Krytyk poprawić musi: przede wszystkim, głównie na tej woli.

Zatem konstrukcja sensu o prawach dalej sięgających aniżeli to bywa u innych poetów, miejsce obrazu więcej służebne i niesamodzielne aniżeli jego częsta obecność wskazuje. Od takiej poezji doszedł Przybos po drodze jaką wbrew jego sugestii odtworzyć musimy, dokonując przede wszystkim pewnej klasyfikacji jego ulubionych sposobów poetyckich. Obrazem, który najbardziej może uderza nieoswojonego czytelnika i jeszcze dzisiaj bywa naśladowany przez młodzież literacką, jest taka konstrukcja:

turkot zajeżdża do uszu robotników, którzy
zarobiony dzień niosą na plecach.

(„Na kołach”)

Z miliona złożonych do modlitwy palców wzniesionych
przeźreń

(„Notre Dame”)

Na najdawniejszym etapie wędrowki, oprócz bezpośrednich hasel i zawołani, nowe obrazy pojawiały się tylko w takim opracowaniu słownym. Nie są one szczególnie znamienne dla Przybosa; ich źródło bije w stylu Peipera. Są to obrazy tylko widziane, absolutnie niewyobrażalne i intelektualistyczne w swoim założeniu. Właściwa droga Przybosa jest inna: prowadzi do jak najściślej współpracy pomiędzy wiedzą poety a jego okiem, pomijając tym, co o danym przedmiocie można wiedzieć, a tym, co naprawdę dało się ująć. Od baroku słów wiedeńskie do oszczędnej wizji rzeczy. Wejdźmy od razu w najbardziej centralne ogniwo tej wizji. Każdy przyzna, że najbardziej znamienne dla Przybosa są urywki tego typu:

Cały dzień budowali betonując dal.
Cegły dokładali do cegły,
cegły dokładali jak do ognia do cegły,
cegły czerwono na cegły
zapalali,
wrzali w kubiach z wapnem rozżarzony do białości
skwar,
z muru strzelili krwawy piomyk: chorągiewka!
(„Obmurowani”)

Pęd jaśniał krzesząc ziemię spod kół,
i wzmagał się i rozlegał się pospiesznie
Leman,
rozpłaszczona błyskawica
urywana zgłoszonymi gromami gór.
Gwisz zapalił lunę na wietrze —
gwisz.

(„Gwiazda”)

Jeżeli sprawcą poezji jest zawsze człowiek naiwny, tzn. człowiek, który nie przestaje się dziwić światu i zdziwienie swoje przekłada na mowę, jeżeli jest nim człowiek, który uparcie pragnie wiedzieć co ujrzał naprawdę, to na tym torze sztuki Przybosa osiągnął on jedno z najpiękniejszych swych wcieleń w niedzwojenną poezję polską. Bo w tekstach podobnych, a to jest kanon poezji Przybosa, u kresu wiedzy poetyckiej, jaka je zorganizowała, napotykamy wzruszające i proste zjawia-

ska: jeżeli poniechamy wszelkiej wiedzy składają nam dane o budowanym domu, o mijającym jeziorze górskim, jeżeli zdamy się na samo świadectwo oczu, naiwnie i radośnie patrzącym na jaskrawą czerwień wznoszonej budowli, jeżeli zdamy się na spłatane świadectwo zmysłów w pędzącym pociągu, nie możemy widzieć i odczuwać inaczej aniżeli tego uczy poeta. Pęd przestaje być pojęciem, a działą fizyczne, fizyczny kształt gór staje się tylko dźwiękiem, gromem i echem skał słyszanych w podróży.

To skłócenie pozorne wskazuje na dalszą jeszcze cechę wyobraźni Przybosa. Obraz w jego liryce dlatego mógł osiągnąć tak wielokrotnie sens, ponieważ rozbity został jego charakter nieruchomy i opisowy. W postępowaniu poetyckim Przybosa widzę analogię zupełną z tym pomnożeniem możliwości wizualnych człowieka, jakiego dostarczała technika współczesna. Obraz w dawniejszej poezji jest jak sztaluga malarzka albo obiektyw nieruchomy: oglądany bywa z jednego tylko stanowiska. Pejzazysta na sztaludze nie może dać obrazu w ruchu; może zmieniać swoją pozycję, ale wówczas za inny obraz, tak samo zniechęcałoby. Dopiero kamera filmowa rozbiła tę statyczność obrazu, stwarzając perspektywy niedostępne dawniejszej sztuce: obraz stający się, koń stwarzany nie pędem własnym, lecz pędem nadbiegającej ku niemu kamery, bieg ujęty z pod spodu biegnących itd. Kamera filmowa przesunęła podmioty ruchu w obrazach, stworzyła podmioty niedostępne obserwacji naiwno-realistycznej i całkowita tego analogie dostrzegam w poezji Przybosa. W podobny sposób rozbiła on stosunki sprawcze w świecie fizycznym na stosunki całkiem nowe: obraz jest u niego bądź funkcją przestrzeni, która go wydziela, bądź człowieka, który go stwarza działaniem i ruchem swoim. Brzoza jest jedynym ramieniem ocalałym po bitwie przestrzeni („Oczy zabitych”), latarnie wychodzą same z bram („Wieczór”), parowóz rozchyla wzdłuż toru pola („Król Huta — Wisła”) i tak dalej.

Taka metoda właściwa jest wszelkiej fantastyce i stąd wielu utworom Przybosa nie brak uderzającej fantastyki, ale nie ona jest celem i zarodem tego postępowania. Sprawcą bowiem takich przemian nie jest magiczno-naïwne zapatrzenie w świat, w którym wszystko może być wszystkim, ta wieczna zasada fantastyki, ale sprawcą jest właśnie człowiek, przekonanie poetyckie o jego niesamowitej sile, metaforyczna zdolność dokonywania dzieł, niedostępnych mu w rzeczywistości realnej. „W tej chwili, gdy się stopa oderwie od ziemi i w próżnię przenosi, powstaje przestrzeń” — te słowa Flukowskiego mogłyby powiedzieć Przybos, są bowiem wyrazem wspólnej im metody.

Od stóp idących świat się zagęszczał i krzewił
nieprzebytej głuszy, skąd łąka zamierzająca
uchodziła do dolin. („Drzewie”)

Rola człowieka w powstawaniu nowej rzeczywistości poetyckiej osłaga wymiary jeszcze rozległej aniżeli to wynikać drogi z chodu. W centrum tego obrazowania jawi się u Przybosa człowiek-cyklop, człowiek zdolny do dzieł metaforycznych, na które nie stać go w świecie rzeczywistym. Ten, żeby tak rzec, cyklopi moment liryki Przybosa, łączy się ściśle z analizowanym poprzednio rozbiłaniem stosunków sprawczych w świecie i staje się świadectwem mocy kulturalnej człowieka, dowodem zaufania w jego siły twórcze. Zobaczymy, w jak charakterystyczny sposób zniknie on w czasie wojny. Człowiek chwycił za krawędź horyzontu i ścigał nowy krajobraz („Spotkanie”), w gniewie ramieniem zrywa most („Z błyskawic”) oczy dzierżąc zjazd, by nie runął „Istnieć”, poeta dotykał ustala zieleń, oczyma wyprowadza kształty („Ład”), ba, nawet echo nie jest u niego czymś biernym, lecz stwarzającym: „zadyszany za wolami głuchych pastuch wyhułał rozód” („Echo”). Dewiza tego postępowania mogłaby być strofa:

Wieszcz rąk, robotnik dumy, wywyższam się
pod gwiazdy, uciśk gwiazd prawe ramie mi żłobi,
niebo nawisto hełmem, niebo porynam na ciemie,
i noc, wzniesioną z gwiazd, podnoszę na sobie.

(„Gwiazdy”)

Zapowiedzieliśmy fantastykę. Przybos bywa fantazjotwórcą częściej niż się przypuszcza. Bywa fantazjotwórcą ścisłym. Fantastyka pojawia się wyjątkowo tam, gdzie pozwala na nią temat: wspomnienie wsi i dzieciństwa, cykle „Bogi” oraz „Ścieście jaworu”. Jej władza kojarzą się prawie wyłącznie z cyklopiem działaniem człowieka. Niekiedy wystarczy pocie poszerzyć je na cały krajobraz, wystarczy przypisać mu działanie, właściwe tylko człowiekowi, by powstawała uderzająca antropomorfizacja, znaniami dla każdej fantastyki:

Droga, powtarzana kopytami, okracza wzniesienie,
widać ją, jak jedzie w upręży z kastanów, przez
przewleka dwa lby końskie, wzdłużone od pędu.

(„Krajobraz”)

Takie władza są rzadsze. Częściej sam człowiek, zwłaszcza we wspomnieniu, w pojawiać dzieciństwa działa magicznie: sierpem zacina niebiosa w gwiazdy, głosem matczynym łupie świat w gniazdo snu dzieciennego, dziełom szuka rąbając pnie, cieniem roś szoruje, ruchem wozu góry i drzewa miele, chmurami jak wozem drabiniastym wozu zjęte barwy, ale koniom gwiazdy kąpią z czoł, zorzą szyby rozbiła, promieniami tka ścianę. Jeżeli te pełne precyzji i odkrywczości zwroty tak mocno podkreślał, to dlatego, że ta strona poezji Przybosa bywa prześlępiana niesłusznie. Tymczasem nigdy nie jest ona obniżaniem pióra na rzecz łatwego fantazjowania, ale podniesieniem fantazjowania do stanu niedościgłej i wieloznacznej precyzji. Dlatego, by przejść do przepowiedni, sądzę, że np. cykl „Ścieście jaworu” bo ten cykl opisujemy opisuć fantastykę Przybosa, jedyny bodaj ma gwarancję przetrwania pośród wielu podobnych mu, wierszem i prozą układanych tuż przed wojną wspomnień autobiograficznych wsi i dzieciństwa. Tytko bowiem w „Ścieściu jaworu” wspomnienie nie zamiotło precyzji w jego odtworzeniu.

Tak się przedstawia pierwsze, do czasu wojny narkotyczne, koło poezji Przybosa. Jest pełne dynamiki poetyckiej, ściślejszą wyraz ku konstrukcji coraz zwiększającej, coraz dokładniejszej. Wszystkie osiągnięcia poetyki Przybosa już w nim są zapisane, z tym osiągnięciem najgłośniejszym na czele: przekładem każdego uczucia na niepowtarzalny, jedyny obraz poetycki. Gdybym miał wskazać obraz, w którym najmocniej się skupiają te wszystkie cechy prężności, dynamiki, obrazowej równowagi uczuć, wreszcie postawy społecznej poety, nie znalazłbym lepszego nad zakończenie „Chat”:

Lecz kiedy niebo ponocne czerwień na wschodzie
w szybach rozgarnia promienie błysk
widzi.
Dwór bladej do drzew pod siekierami światła
przypada.

Widać:
Każy dom
każde
na sztorc komina nasadził!
Płonowo cichnie huk niewybuchy chłap: dym
i z urwisz strzela bór.

II.

Utwory napisane w czasie wojny, objęte cyklem „Półki my żyjemy”, oraz udośćnione dopiero dzisiaj utwory cyklu „Do ciebie o mnie”, zakreślają inne koło doświadczeń poetyckich Przybosa, tylko częściowo pokrywające się z zasięgiem przedwojennego kręgu. Nie trudno dostrzec, gdzie dokonały się główne zmiany. Usposobieniu uległ onegdajszy niecierpliwy rozpęd, gwałtowna i sprężona dynamika kierunków obrazowych. Onegdaj, rzeczywistość najbardziej codzienna przesycona była jej ładunkami:

Stół pod moim piórem wezbrałszy do samych
przebiiera swą miarę,
jak czoig, gdy ma ruszyć do ataku.
Dom już dziś płonie we mnie jutrzejszym pożarem,
serce atakuje mnie przedzi.

(„Równanie serca”)

Dzisiaj widowisko okrutniejsze nad to widzenie słowem samym sprawiane, jakże prosto, chociaż według tej samej metody, zostaje sprowadzone do podobieństw oczywistych:

Ziemia, widnokrąg na widnokręgiem, pokładała się
[za mną, jakbym skiby odwalal,
mosty podlatywały na płomieniach, trafione jak ptaki
[ogniste,
i nasz dom, gdy się obejrzał, roprysnął się
[w gwiazdę.
(„W ucieczce”)

Dokonało się ukłasyfikowanie i uciśnienie obrazowania poety. Jego najbardziej znamienym świadectwem jest to, że w wierszach z czasu wojny nie gdzie się nie pojawia moment cyklopi, bo też w rzeczywistości samej nigdy go więcej nie było. Sądzę, że w tej nieobecności wyraża się podważona przez wojnę wiara w sam dynamizm kultury ludzkiej, jako zasadę niekontrolowaną. Przybos ulegał jej mocniej niż sądzi i na ostatnim etapie swej poezji odszedł dalej niż przypuszcza.

Na opuszczone miejsce wkroczył liryzm w rozmiarze niespotykanym dotąd u poety. Jego zapowiedzią były już dawniej takie liryki, jak „Z rozłamu dwóch mórz”, „Gdzie”, „Wieczór”. Dziś wzruszenie ogarnia sferę znacznie szerszą, przede wszystkim tematycznie osobistą („Nie zasne dziś”, „Z gałązką oliwną”, „Grudka za grudką, bryły”) oraz zupełnie pozabawiony analogii nie tylko u Przybosa, ale bodaj w ogóle w liryce dwudziestolecia cyklu erotyków „Do ciebie o mnie”. Najpiękniejsze utwory tego cyklu pełne są męskiej powściągliwości uczucia i równie niespotykanej w naszej poezji ostatniego czasu prostoty, ludzkiej prawdy miłości. „Zjawisko wiosenne”, „Majowe”, „Do ciebie o mnie”, „Daleka, co noc bliższa”, „Odtąd nocom” — tytuły, którym przepowiadał, że na zawsze pozostaną w liryce polskiej.

Za działaniem tego liryzmu rodzą się postawy uczuciowe, których nie obserwowaliśmy dotąd u Przybosa: wdzięk i humor, rozkładające obrazy, które dawniej były tylko patetyczne. Człowiek, dokonujący cyklopi gestów, czyni to teraz całkiem inaczej, po śladach humoru i zgody ze światem. „Zono, motylek otrzyj niebo ze słoty” — tyle pozostało z onegdajszego młotania horyzontami i górami. Wyrazem tej przemiany są takie utwory przede wszystkim jak „Zyjąc sobie spacerem”, „Ptaki, cienie”, oraz przedziwny liryk „Cicho, nisko”. Najlepiej zaś ta przemiana podzielała na ton wzruszeń patriotycznych: nadała im intymną prawdę, skojarzyła siłę przeżyć z tem przyrody. „W widnokręgu, który objął mnie w dzieciństwo, Ziemia nieśmię będzie w wieczność koło słońca” („Słońce ze wzgórz Gwoźnicy”).

Ale najciekawsza jest jeszcze inna przemiana: rozbudzenie się świadomości, kto jest właściwym sprawcą tych związków pomiędzy obrazem poetyckim, rzeczywistością a wzruszeniem, które odnajdujemy u Przybosa. Weźmy jakikolwiek tekst:

Znowu na rodzinnych polach zagonami zamiast ulic,
gdy wysoko ponad głową, niepodparta wieżą,
a powietrze, niżę legie, [wziata,
natarczwy kwiaty płożą.

Stara brzoza, w dzieciństwo mnie, w gałęziach twych
[skryte, otul
i w korzeniach czas złożony
rozsum.

(„Znowu na rodzinnych polach”)

Kto jest sprawcą, ważnym same powiedzenia, że wieża podiera wysokość, że kwiaty płożą powietrze, brzoza rozumia stary czas? Czy istnieją w jakiegokolwiek ze sztuk środki, zdolne równoważyć te powiedzenia? Niewątpliwie filmowa konstrukcja obrazów może przybliżyć dwa pierwsze układy, ale trzeciego nie zrównoważy nikt. Sprawcą bowiem tego stosunku jest samo słowo. Słowo, które wyrażając — stwarza. Dlatego pojawia się dzisiaj u poety nader silna świadomość sprawczej roli słowa w konstrukcji jego ulubionych obrazów. „Rzeczy tknięte moim wzruszeniem przytaczają się słownie” — czytamy w „Jesieni 1942”. Tę rolę słowo, znak nazywający, pełnił u poety zawsze, ale teraz dopiero Przybos podnosi je na tarczy. Dlatego to jedyny akcenty dawniej cyklopi i przestrzennej siły człowieka pojawiają się tam, gdzie się łączy z pocuciem misji poetyckiej:

Piszę — odległociami,
odwracając, karta za kartą, horyzonty i nieboskłony
do ciebie list
nieskończony. („Niosąc ziemię”)

Tak więc istniejąca dotąd zawsze metoda poezji Przybosa dopiero obecnie przechodzi w świadomość tej metody. Skąd do tego doszło? Widzę w tym znów działanie wojny. Faszystowskie pomalowanie cudzą kulturą tworzyło u pomalowanych własne głębszy szacunek dla niej, większą świadomość jej wizerunku. Taką świadomością władze własnej sztuki jest przywiedziony motyw. I dlatego nie słyszmy przesyły, kiedy poeta powiada: „uchodź, i jak sztandar zwinięty śród wrogów ścisłkam drobny swój rękopis silniejszy” („Na polach wielkich”). Widzimy tylko wskazanie źródeł tej pewności i misji.

Tak się zamyka drugie koło doświadczeń poetyckich Przybosa. Zagarnęło inne przestrzenie uczuciowe niż koło pierwsze i tych przestrzeni zagarnęło więcej. Przesunięte zostały główne akcenty liryki poety. Gdybym miał wskazać tekst najlepiej charakteryzujący tę przemianę nie znalazłbym lepszego nad liryk „Cicho, nisko”:

To raz jeszcze
tak zawrotnie, że niepostrzeżenie,
określiłem się koło słońca.
Jeszcze niesie mnie na powierzchni
Ziemia się ślaniająca.
Bliżej mi do mnie, wierniej.

III.

Stwierdzamy: uległy znamienym przesunięciom postawy uczuciowe poety. Nie zmienił się zasadniczo, jedynie uciśzył i uspokoił, kanon formalny Przybosa, w pełni wypracowany od tomu „W głąb las”. Nie uległy również zmianie inne centra poezji Przybosa, mieszczące się w sferze światopoglądu myślowego i doznań społecznych pisarza.

Poezja Przybosa stanowi bardzo rzadki, zwłaszcza u nas, przykład poezji obywatelskiej się zupełnie bez jakiegokolwiek tępnoty transcendentnych i metafizycznych. Zawsze była to poezja skończona ziemską, widząca los człowieka jedynie w jego ziemskich ramach. Ustawicznie przewijający się w tej liryce jakiś globalny obraz ziemi, która ogarnia i zamyka człowieka, nie tylko do sfery doznaniowa nazy — wyraża on immanentne założenie myślowe tej liryki. Nie darmo i słusznie całość swego doświadczenia poeta zowie szukaniem „miejsca na ziemi”. Nie darmo, kiedy spisuje utwór, który sam nazwie „ostatnim wyznaniem”, przeczytamy w nim werset: Zyjąc — wdychałem aż do krwi krajobraz za kraj- [obrazem,
gdziekolwiek spojrzę, pulsuję we mnie ich widok,
tak że gotów jestem przyjąć od ziemi swój grób [z zaufaniem.

Wzgardziwszy religiami, wierzę w doskonałych,
[którzy kończąc nie pragną zmartwychwstać.

(„Zyjąc”)

Postawa zaś społeczna Przybosa posiada dwa wygłady i wywodzi się właściwie z dwóch źródeł. Kto na pierwszych ogniwach obserwował rozwój poetycki Przybosa, ten mógłby sądzić, że na przed sobą poetę pracy urbanistycznej i przemysłowej. Postawa ta wyraża się bowiem przede wszystkim w sposób dynamiczny i opiewający siłę pracy, piękno celowego wysiłku, wyraża się pocuciem wspólności pomiędzy pracą poety, jeżeli kieruje nią świadomy ideał społeczny, a pracą rąk zwykłych. „Sprawdzały moje dzieło poetyckie ręce robotników i robotnic... Pęd maszyn moją wolę przesilił” („Do robotnic”). To stanowisko nie uległo zmianie, chociaż uciśzył się będący jego ścisłym odpowiednikiem dynamizm poety.

Odmienny wyraz ta postawa posiada tam, gdzie przemawia większe pochodzenie poety. Tutaj dopiero słyszemy akcenty kryzysu i różnicy społecznej, ale znów pozbawione jakiegokolwiek sentymentalizmu, znów sprężone przede wszystkim do wyrazu walki. Jeżeli pojawił się odczuć bledy wiejskiej, nie towarzyszy mu żała łatwego współczucia, lecz całkowita transpozycja w nowy obraz „Nad wsią — wieczór, bielemooki zebrał. Wpuścił dzwającą kłębić, złoty, w torbę z chmur” („Oberek”).

Dlatego wreszcie najsilniejsze akcenty zdobywa liryka Przybosa tam, gdzie staje przed nią wybór walki, tej co pochodzącej z krzywdy prowadzi do siły jako rady jedynej na krzywdę. Są to przede wszystkim utwory pisane w czasie wojny domowej w Hiszpanii („Na granicy”, „Na zachód”, czy kraju dotycząca „Droga powrotna”, „Ojdzdż z wakacji”) oraz ostatnie liryki cyklu „Półki my żyjemy”. Tutaj od konstruowania nowej rzeczywistości poetyka Przybosa przechodzi do zwartego hasła, nakazu, przepowiedni krótkiej, jak hasło. W wierszu napisanym przed laty dziewięciu czytamy:

Wisła toczy dalszy nurt Manzanares,
Madryt zwycięży na ulicach Warszawy.

Tak się kreśli w wielkim skrócie wszystkie kęgi i punkty centralne liryki Przybosa. Powróćmy jeszcze do jej wyrazu formalnego.

Poezja Przybosa walczyła o ten wyraz w atmosferze nowatorstwa po pierwszej wojnie światowej. Osiągnęła go w atmosferze całkiem innej, dzisiaj, kiedy eksperyment artystyczny przestał być aktualny. Sama ta poezja dawno wyszła ze stanu szukania i chcąc sprawiedliwie ocenić jej osiągnięty kanon zapytać należy, który z wątków ówczesnego eksperymentu ocala ona i przenosi, które tamtych nowatorstw cenne wydają się tylko te, które pragnęły ocalić formę, wygląd obiektywny, kształt sztuki. Cała poezja Przybosa mieści się po tej stronie. „Wola wymiernego kształtu” zawsze prowadziła poetę, a taka wola nie należy do dziedziny przemijającego eksperymentu. Stanowi jedno z odwiecznych dążeń sztuki, któremu w poezji mł. ywojennej i obecnej nikt nie dał wyrazu barziej uczciwego i męskiego niż Julian Przybos.

Kazimierz Wyka

Sztuka polska w angielskich czasopismach artystycznych

Styczeńowy zeszyt znanego miesięcznika londyńskiego „The Studio”, w całości poświęcony został sztuce polskiej. Zebrane tu artykuły i reprodukcje w pewnej mierze stanowią jakby konkluzję szeregu poprzednich rozpraw z tej samej dziedziny w angielskiej prasie artystycznej.

Na przestrzeni lat ostatnich można było zauważyć zainteresowanie się sztuką polską w Anglii. Dużą w tym rolę odegrało skupienie w państwie brytyjskim pokójnej ilości naukowców i artystów polskich oraz zrzeszenie artystów w Londynie w oddzielne stowarzyszenie, na którego czele stanął Tadeusz Potworowski. Może przeto warto będzie zanotować te refleksy polskiej twórczości plastycznej w wydawnictwach angielskich.

W dążeniu do zaznajomienia czytelników angielskich z sztuką polską na pierwszym miejscu należy postawić „The Studio”. Ale nawet „The Burlington Magazine” jedno z najpoważniejszych w Europie czasopism z zakresu historii sztuki, zwykle mało udzielające miejsca twórczości współczesnej, zamieszczało recenzje z wystaw niektórych artystów polskich.

Jeszcze w marcu 1943 r. „Studio” umieściło 10-ciostronicową, bogato ilustrowaną rozprawę o dziełach sztuki polskiej, pióra znanego rysownika Feliksa Topolskiego, który na ten temat poprzednio wygłosił odczyt w Galerii Narodowej w Edynburgu. Dołączone do tekstu reprodukcje — wśród nich barwna odbitka z pięknego „Bukietu” Józefa Pankiewicza — dają charakterystyczny przekrój malarstwa naszego, poczynając od Aleksandra Orłowskiego i kończąc na Tytusie Czyżewskim oraz Janinie Konarskiej. O samym Topolskim można było znaleźć w innych zeszytach tegoż miesięcznika wzmianki i reprodukcje z okazji ukazania się świetnych albumów artysty polskiego o Londynie w czasie wojny oraz z frontu rosyjskiego.

Nowy zeszyt polski „The Studio” (styczeń 1945) nosi charakter bardziej monograficzny i składa się aż z sześciu oddzielnych rozpraw poświęconych różnym dziedzinom sztuki polskiej i bardzo obfitego materiału ilustracyjnego. Na czele stoi rzecz o malarstwie przeważnie nowszym, napisana wspólnie przez Adama Kossowskiego i Józefa Natanson. O architekturze w Polsce potrącają, wzajemnie się dopełniając, artykuły Romana Sołtyńskiego o tradycjach epoki Stanisława Augusta i Kazimierza Lichsteinina wraz z Bronisławem Rudzińskim o wyglądzie miast polskich. Doskonale obraz dawnego kuberniactwa polskiego i najnowszego rozwoju kuberniactwa daje gruntowna mimo swej zwięzłości rozprawa Krystyny Dydyńskiej-Henebergowej. Wreszcie były rektor warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych prof. Wojciech Jastrzębowski zaznając ją folklorem polskim w zakresie malarstwa na szkiele i drzeworytów ludowych.

Równoległe ze „Studio”, mniejszych rozmiarów, miesięcznik londyński „Art and Industry”, poświęcony prawie wyłącznie sztuce stosowanej i galejom pokrewnym, podczas wojny na szpaltach swych umieszczał wiele artykułów i notat o artystach i sztuce polskiej.

W piśmie tym zamieszczona była przedmowa F. Topolskiego do wyżej wzmiankowanego radzieckiego jego szkicownika pt. „Russia in War” (1943), bardzo ciekawa jako swego rodzaju credo artysty, zawierające wypowiedź o jego stosunku do sztuki i zapatyrywaniach na najnowsze w niej dążenia. W r. 1942 pismo „Art and Industry” dało szkice o spółce warszawskich grafików-plakatyistów Lewitt-Him i jej pracach na tle londyńskim, a w roku następnym w periodycznej serii „Artists in mundurach wojskowych” znajdujemy szereg żywych rysunków Aleksandra Zywca z różnych formacji wojsk polskich w Anglii. Czytelników angielskich zapewne bardziej jeszcze mogły zaciekawić dwa po kolei artykuły o specyficznej polskiej gałęzi plastyki dekoracyjnej, dla której jako materiał służy głównie papier kolorowy i jednobarwny.

Prof. Jastrzębowski w wyżej przytoczonej rozprawie ludowej ograniczył się jedynie do malarstwa na szkiele i drewnianej piły rytowniczej, zupełnie zaś ominął wycinanki i zamaitowanie wsi polskiej do papieru barwnego oraz umiejętnego wyzyskania jego możliwości dekoracyjnych. A przecież właśnie tradycje tego folkloru pozostały żywe i zdolny natężyć kilku artystów, w których zręcznych i fachowych rękach ozdoby, wytwory plastyczne z papieru nabrały nowego polotu i wdzięku i śmiało wkroczyły w obręb współczesnej sztuki stosowanej.

Angielski miesięcznik w grudniu 1942 r. zaprodukował kilka bardzo gustownych i walecznych „rzeźb papierowych”. Tadeusza Lipskiego z notatką o ich związku z chiopskimi wycinankami. W sierpniu 1943 r. na szpaltach tegoż czasopisma historia sztuki dr Irena Piotrowska oświeśla pokrewną twórczość Amerykanki pochodzenia polskiego Eriki Hanksi Goreckiej, która w Nowym Jorku zdobyła sobie imię i powodzenie oryginalnymi rzeźbami z materiału papierowego. Istotnie dołączone do artykułu dr Piotrowskiej reprodukcje z pół tuzina tych „rzeźb” — przede wszystkim odtworzone postaci z popularnego repertuaru współczesnego teatru amerykańskiego — przedstawiały się bardzo ciekawie, świadczą o nietuzinkowej pomysłowości w wydobywaniu takich efektów z papieru i nacechowane są pewnym stylem indywidualnym. Gorecka, jak objaśnia autorka, była uczennicą Marii Werten, gdy ta wykwalifikowana pedagogiczka w zakresie sztuk pięknych przybyła do Stanów Zjednoczonych na skutek specjalnego zaproszenia. Pierwsza ona właśnie wprowadziła młodą, żądną wiedzy Gorecką w świat polskiej sztuki ludowej, w ogdłósy jej we współczesnej sztuce dekoracyjnej i w dziedzinie plastyki papierowej. Maria Werten zaznaczyła swą uczennicę z twórczością Jana Kurzątkowskiego i Antoniego Wajłdowa, tych promotorów nowej gałęzi rzeźby stosowanej, osnutej na przestarzałej artystycznej szkieletu narodowej i utwory tych artystów nie pozostały bez wpływu na rozwój talentu Eriki Hanksi Goreckiej.

Mówiąc o dr Piotrowskiej, wskazać należy jeszcze jeden jej artykuł, który się pojawił w zeszycie drugiego kwartału pt. „Polish Science and Learning”, wydany przy uniwersytecie oksfordzkim wspólnie przez grono naukowców polskich i angielskich. Autorka bardzo trafnie swój treść w rzuć oka, nadzieje i losy sztuki polskiej zatytułowała: „Malarstwo polskie, wpływ historyczny, dążenia współczesne i możliwości przyszłe”. Umiejętny dobór ilustracji podnosi cennosc informacyjną jej wywodów.

Paweł Etinger

Kronika kulturalna ZSRR

Po zamachu stanu Ludwika Napoleona przeplatał Herzen w liście pisanym z Francji 31 grudnia 1851 roku: „Cała Europa wyjdzie z zawiąsów, będzie wciągnięta na ogólne rozbiście, zmienią się granice państw, narody połączą się w inne grupy, narodowości zostaną złamane i okrojone. Miasta zdobywane szturmem zubożeją, podpadną nauka, fabryki staną, wsie opustoszeją, zabraknie rąk do uprawy ziemi, jak po wojnie trzydziestoletniej”.

Polityczny rozum i zdolność przewidywania przynosią zaszczepić temu, dotąd wciąż jeszcze niedocenianemu przywódcy rewolucyjnej myśli rosyjskiej, w drugiej połowie XIX wieku. „Równoległe do klasycznego bonapartyzmu bédzienny mieli bonapartyzyczne junkierstwo” (1857) — pisał o Niemcach wchodzących w okres Bismarcka. Ale przepowiadając przejściowe sukcesy imperium niemieckiego, przewidywał też Herzen jego katastrofę. Zwycięstwo nie pozostało przy Niemcach. „To jest sprzeczne z ludzkim rozumem, sprzeczne z estetyką historyczną”.

O międzynarodowej polityce Rosji opiniował: „Ma ona sojusznika: są nim Stany Zjednoczone Ameryki Północnej”. Również Anglia: „Sprzymierzyć się z Anglią — oznacza przynależność do obustronnej, zrozumieć, że oba narody nie mają spraw spornych, że przeciwnie, mogą sobie wzajemnie pomagać skutecznie. Czas jest skończony z urojoną rywalizacją, której brak uzasadnienia poza nieznajomością geografii”.

Podane cytaty z pism Herzena zawarte są w artykule N. Ancyferowa „Herzen i genewski kongres ligi pokoju i wolności” („Wiestnik Akademii Nauk SSSR”, 1945, 1—2).

W sprawozdaniu z odczytu N. Dzierżawina na temat „Herzen i Polska”, wygłoszonego na posiedzeniu Akademii Nauk ZSRR, znajdujemy opinię Herzena o Polsce: „Dla Rosji silna, niezawisła Polska jest o wiele wygodniejsza niż Polska powiatowa, okrojona i nienawidząca” („Wiestnik Akademii Nauk SSSR”, 1945, 3).

Wybór pism tego niezwykłego umysłu publicysty i największego przyjaciela Polski w XIX wieku, w szczególności zaś przekład „Byłoby i dumy” jest w obecnej chwili bardzo na czasie.

W związku z 250-leciem urodzin François Arouet, który wszedł do historii pod imieniem Woltera, Akademia Nauk ZSRR odbyła szereg posiedzeń dla uczczenia pamięci swego honorowego członka. O historycznym znaczeniu Woltera mówił W. Woinin, kładąc nacisk na wielką siłę społeczną, zawartą w pismach „niekonformującego króla”. Prof. M. Nieczkina o wpływie Woltera na społeczeństwo rosyjskie, prof. Mieszczyński o jego artystycznej twórczości („niech żyje Henriad”, „niech żyje Mahomet”) — witano go w Paryżu okrzykami, wskazującymi na popularność utworów literackich a nie czysto publicystycznych — prof. E. Kosminskij i A. Andrejew analizowali Woltera jako filozofa, prof. N. Polanski jako bojownika o prawo, a prof. N. Idelson podniósł jego zdumiewającą wielostronność i intuicję, dzięki której ocenił w lot doniosłość nauki Newtona i stał się heroldem jej we Francji. Na koniec W. Lublinski omówił archiwalno-literacką spuściznę Woltera, znajdującą się w bibliotece im. Sałtykowa-Szczedrina w Leningradzie. Najcenniejsze są nie kroniki i rekwizyty, lecz notatki Woltera na stronach książek. Jest ich aż około trzydziestu rodzajów, a dzięki bezpośredniej reakcji i przeświadczeniu, że nie będą ogłoszone, notatki te z wyjątkową wyrazistością oświecają wiele spraw.

Tekst przemówienia wstępnego prezidenta Akademii Nauk ZSRR W. Komarowa podaje „Wiestnik Akademii Nauk SSSR” (1945, 1—2).

W państwowym wydawnictwie Literackim ukazał się wybór wierszy i prozy Walta Whitmana w przekładzie K. Czuchowskiego. Jest to dziesiąte wydanie Whitmana po rosyjsku. Książki jego były palone w faszystowskich Niemczech.

Mieszczyński „Oktyabr” (1945, 5—6) rozpoczął druk przekładu powieści Liona Feuchtwangera pt. „Simona”. Przekładu z rękopisu dokonał I. Gorkina.

Do publikacji z okresu wojny przeciw Niemcom przybywa nowy rodzaj. Są to rekwizyty przyfrontowe. Redakcja „Oktyabra” (1945, 5—6) zapowiada systematyczny druk utworów napisanych przez uczestników wojny, frontowych żołnierzy i oficerów. Utwory te, których nagromadziła się już ogromna ilość, mają postać wierszy, powieści, opowiadań, wspomnień, zapisków. Powstawały one często w ogniu walki, mają więc wartość dokumentarną. Jako pierwsze podano cztery opowiadania oficerów Armii Czerwonej.

JĘZYKOZNAWSTWO I HISTORIA LITERATURY

Stan rozwoju i plany pracy Akademii Nauk ZSRR na rok 1945 w dziedzinie językoznawstwa, historii literatury i orientalistyki obrazuje referat członka Akademii I. Mieszczyńskiego.

Radzieckie językoznawstwo w przeciwieństwie do „sociologicznej szkoły” w zachodniej Europie, która przyjmuje istnienie prajęzyka i poświęca wiele uwagi badaniom porównawczym różnych systemów, — stosuje za Marrem metody materialistycznej lingwistyki. Dochodzi ona do poznania praw językowego rozwoju, wykrywając nowe jakości — powstawanie różnych form językowych („rozwoj stadiálny”). Gdy w europejskiej nauce opracowano gruntownie uroównawczą gramatykę języków indoeuropejskich, — języki kaukaskie, tatarskie i fińsko-ugryjskie stanowią przedmiot badań nauki radzieckiej. Podobnie języki północne tj. eskimoskie, samojedzkie i czukockie. Także irańskie mają swoich badaczy, wśród których pierwsze miejsce zajmuje E. Bartels. Wydanych specjalistów posiada indyanistyka: języki przypamiarskie (I. Zarubin, M. Andrejew) i indyjskie (A. Barannikow).

Na pierwszym planie są jednak badania nad językiem rosyjskim, w których czołowe miejsce zajmują prace prof. S. Obnorskiego i L. Bułachowskiego. Obnorski („Oczeki na istoriu russkawo jazyka starszego pierioda”) obala tradycyjną tezę, że literacki język rosyjski wyrósł z cerkiewno-słowiańskiego i dowodzi, że równocześnie z nim istniał samodzielnie język staroruski, w którym powstało wiele utworów. Dotyczy to po części „Słowa o pułku Igora”, w którym elementy cerkiewno-słowiańskie wcale nie są przeważające. Z publikacji pomników języka należy wymienić monumentalne wydanie „Ruskiej Prawdy” pod redakcją B. Grekowa i „Słowa o pułku Igora” pod redakcją A. Orłowa.

Orientalistyka dostarczała w ostatnich latach interesującego materiału do oświecenia wczesnych dzieł Rosji: „Chazarskaja pieriepiska” wydana przez P. Kokowcowa, „Arabskie i izwiestia o Rusach” B. Bartolda i rosyjski przekład „Podróży Ibn Faidana po Woldze” redaktor I. Kraczkowski. Najważniejszym sinologiem radzieckim jest W. Aleksiejew, nad słownikiem rosyjsko-japońskim pracuje N. Konrad.

Również w dziedzinie eksperymentalnej fonetyki osiągnięto poważne sukcesy (np. „Fonetyka języka francuskiego”).

Wielotomowa „Historia rosyjskiej literatury” wyraża wyniki pracy w tym zakresie. W dwu instytutach literaturoznawczych Akademii Nauk ześrodkowano badania nad życiem i twórczością Puszkina, Tolstoją, Gorkiego i prace poświęcone odrębnym zagadnieniom literaturoznawstwa w Rosji oraz monografię pisarzy i krytyków, jak Biełinski, Pisarew, Dobrolubow, Puszkina, Lermontow, Sałtykow-Szczedrin.

Badania nad literaturą Zachodu, w których uczestniczy rzesza radzieckich uczonych, złożą się na wiele tomów historii literatury narodów zachodnich. Przygotowano już tomy poświęcone literaturze angielskiej, francuskiej, hiszpańskiej, włoskiej, amerykańskiej, oraz opracowano plan badań nad literaturą narodów skandynawskich niezależnie od monografii o poszczególnych pisarzach (Dickens, Byron, Stendhal, Balzac).

Literatura antyczna i klasyczna, która w ostatnim dziesięcioleciu zubożała, obecnie ma doznać restauracji. Katedry uniwersyteckie w Leningradzie i Moskwie wzmożyły swą działalność, a w przygotowaniu są fundamentalne prace z dziedziny historii literatury greckiej i łacińskiej.

Zapowiedzi na najbliższą przyszłość: dokończenie wydawnictwa prac N. Marra (dotąd pięć tomów), kontynuacja badań historycznych nad oddzielnymi forami gramatycznymi języków występujących na obszarze ZSRR, zestawienie porównawczo-historycznych gramatyk oraz tzw. akademickich gramatyk, opracowanie gramatyki języka rosyjskiego (morfologia i składnia), ortoepia i słownik akademicki dawny i współczesny, badania nad dialektami i wydawnictwo materiałów dialektologicznych, badania nad folklorem.

W zakresie literatury słowiańskiej wielką wagą ma być zwrócona na literaturę ukraińską i białoruską, oraz literatury narodów słowiańskich poza granicami ZSRR. Zespół sławistów zachodnich obejmuje nazwiska N. Dzierżawina, S. Bernstejna (Rosja) i L. Bułachowskiego (Ukraina). Instytuty słowiańsznawcze w Polsce, Czechach, Jugosławii i Bułgarii doznały strat wskutek wojny. „Jest rzeczą zupełnie jasną, że odbudowa tych ośrodków słowiańsznawstwa nie może odbyć się bez naszej pomocy” („Wiestnik Akademii Nauk SSSR”, 1945, 1—2).

PO PROSTU

Prawo i humanizm

Nigdy nie zapomnę jednej z rozmów wojennych. Znajomą moją, Żydówką, która dzięki jasnym włosom i niebieskim oczom swobodnie mogła się poruszać po Generalnej Gubernii, wróciła właśnie z Belzca. Pojechała tam ratować rodzinę. Ojciec jej został spalony, matkę wykupili. Opowiadała, jak zatrzymała się u chłopca, który pedził bimber. Przychodzili tam pić Łotysze i esesowcy. Nie zapomnę jej słów: „To także ludzie. Nie mają wyjścia. Nie mogą patrzeć na to, co robią. Jeden z nich chciał popełnić samobójstwo...” Rozmowy tej nie dokończyłem. Nie mogłem dokończyć. Pozostałem wstrząs obrzydzenia. Stałem wtedy po raz pierwszy wobec całkowitego zaniku poczucia elementarnej moralności. Wtedy zrozumiałem jak dalece kruche są i zawodne tradycyjne oceny czynów, które funkcjonują jako tak w obłaskawionym społeczeństwie czasów pokoju, łamią się i gną wobec masowej zbrodni.

Z wielu stron zarzucano nam błahość problematyki, ograniczanie naszych dyskusyj i sporów do spraw wyłącznie literackich. Słusznie! Spór nie toczy się bowiem ani o Balzac, ani o rewizję stosunku do powieści psychologicznej. Istotą sporu było zdanie sprawy z doświadczeń wojennych, spośród których dla mnie i dla wielu moich przyjaciół najważniejszym stało się zwycięstwo przekonania, że jedynie czyn sprawdza wartość moralną człowieka, czyn, który oceniać można miarą dobra lub krzywdy powszechnej. Jakże bowiem inaczej osądzić kata, który zabił tysiąc a ocalał dziesięciu, albo owego chłopca, o którym na podstawie własnych przeżyć pisał Sandauer w „Nocy praworządności”, że wydał żandarom dwóch Żydów, aby ocalić czterech pozostałych. Jakże bowiem, zapuściwszy sondę dostatecznie głęboko, ważyć intencje i motywy, nie zabiłak się i nie zgubić w owym „splocie przeciwieństw w naturze ludzkiej”, o którym surowy Conrad pisał, że „samej miłości nadaje niekiedy rozpaczliwy wygląd zdrady”.

Odpowiedź znalazłem w prawie. Przed pisarzami stała sprawa osądu człowieka, który przeszedł przez noc hitlerowską. Przed prawnikami stała konieczność sądu nad winnymi zbrodni i klęski. Leżą przede mną trzy nowe prawnicze książki: praca zbiorowa „Wymiar sprawiedliwości, w odrodzonej Polsce”; Jerzego Sawickiego i Bolesława Walawskiego, „Zbiór przepisów specjalnych przeciwko zbrodniarzom hitlerowskim i zdrajcom narodu z komentarzem”, Józefa Giebułtowicza „Odpowiedzialność przestępców wojennych w świetle prawa narodów”. Na zjeździe pisarzy pałały z wielu stron wołania o nawrót do humanizmu. Z tych trzech prawniczych książek przeblja to samo dążenie do przeciwwstawienia się nocy hitlerowskiej przez oparcie wymiaru sprawiedliwości o zasady humanizmu.

„Prawo sądów specjalnych — pisał Jerzy Sawicki — postawiło sobie za cel wychowanie społeczeństwa w duchu szacunku dla godności człowieka... Prawo sądów specjalnych nie potępi obywatela polskiego dlatego, że był lub jest pochodzenia niemieckiego, bo dyskryminacji narodowych nie uznaje, lecz dlatego, że zgłaszając przynależność do narodu niemieckiego, w okresach śmiertelnego zmagania się dwóch światopoglądów, zaakceptował tym samym poglądy etyczne, które są sprzeczne z elementarną moralnością społeczeństwa demokracji”. Nie jest przypadkiem, że słowa o przywróceniu godności ludzkiej każdemu człowiekowi pisał pierwszy prokurator sądów specjalnych w komentarzu do dekretu, który za zbrodnię dokonywania „na rękę władzy okupacyjnej niemieckiej zabójstw ludności cywilnej i jeńców wojennych, za znęcanie się i prześladowanie”, przewiduje jako jedyną sankcję — karę śmierci. Głęboka bowiem łączność wiąże treść, jaką pojęciu humanizmu nadawało na zjeździe wielu pisarzy z nowym poczuciem prawa, którego wyrazem stały się zarówno wydane już dekryty przeciwko zbrodniarzom hitlerowskim i zdrajcom narodu, jak i przygotowywany obecnie przez Ministerstwo Sprawiedliwości dekret o ukaraniu winnych klęski wrześniowej. Nowy humanizm przestał wierzyć w przemianę człowieka bez uprzedniej przemiany warunków społecznych. Nowy humanizm chce zmienić to,

W „Die Burg”, Vierteljahresschrift des Instituts für deutsche Ostarbeit, Krakau, zeszyt 3 (lipiec) 1942 ogłosił dr Josef Sommerfeldt pracę pt.: „Die Juden in den polnischen Sprichwörtern und sprichwörtlichen Redensarten” („Zydzi w polskich przysłowia i przysłowiowych zwrotach”). W pracy tej znajduje się następujący

DOKUMENT:

„Wertvolle Hilfe bei der Verdeutschung und der Interpretation mancher Sprichwörter verdanke ich den Herren Prof. Malecki, Prof. Tad. Estreicher, Dr F. Sławski und Mgr. Tad. Ulewicz”. (Przypiska na str. 327). „Cenną pomoc przy przekładzie na język niemiecki i interpretacji niektórych przysłów zawdzięczam panom: prof. Maleckiemu, prof. Tadeuszowi Estreicherowi, drowi F. Sławskiemu i magistrzowi Tadeuszowi Ulewiczowi”. Tamże, wśród przysłów, pod 69 a przysłówie:

„Zydzie, Świnia za tobą idzie. Rycy, kwicy, Zebysz jej dał cicy”.

z objaśnieniem: „Mündlich mitgeteilt von Tad. Estreicher”, „podane ustnie przez Tadeusza Estreichera” (str. 331).

KTO BYŁ SOMMERFELDT?

Dr Sommerfeldt był niemieckim historykiem na usługach partii narodowo-socjalistycznej. W instytucie für deutsche Ostarbeit w Krakowie piastował stanowisko referenta für Judenforschung, a der Sektion Rassen- und Volkstumsforschung, dla badań żydowskich w sekcji badań nad rasami i narodowościami. Swej aktywności zawdzięczał awans, bo w 1944 roku występuje już jako stellvertretender Leiter der Sektion Geschichte, zastępca kierownika sekcji historycznej instytutu. Dr Sommerfeldt był więc wielką szyszką.

Oblicze jego jest niedwuznaczne. Złonął nienawścią zarówno do Żydów, jak i do Polaków, nie tylko z urzędu, ale z wewnętrznej przekonania, czego dowodzą liczne rozprawy i recenzje jego pódra, rozslane w rocznikach „Die Burg”.

I tak omawiając elukubrację Carla v. Loesche („Der polnische Volkscharakter”), który rozważał „Czy Polacy stali się Europejczykami?”, zamyka dr Sommerfeldt natłok o książce swego kolegi po piórze: „Na to pytanie nie można odpowiedzieć jednoznacznie, tak”. Na marginesie książki Manfreda Lauberta, „Studium zur Geschichte der Provinz Posen in der ersten Hälfte des 19 Jahrhunderts”, ubolewa, że szkolnictwo pruskie pod wpływem filantropijnych idei oświecenia dopuściło do tego, iż polskie mieszczaństwo zdołało rozwinąć zdecydowanie wroga w stosunku do Niemców tendencję. „Brak jasnego politycznego programu przy budowie szkolnictwa w prowincji poznańskiej zemścił się później równie jak wadliwe założenia w dziedzinie gospodarczej”. Arcyprusak i eksterminator lekceważył poprzedników z okresu Bismarcka za niedostatek konsekwencji. Swą pracę o uniwersytecie w Królewcu, z okazji jego 400-letniego jubileuszu, kończy z patosem:

„Praga, Kraków, Królewiec, były w 15 i 16 stuleciu kolejno punktami ciężkości i ośrodkami promieniowania duchowego życia środkowo-wschodniej Europy. Po wojnie na niemieckim wschodzie będą trzymały straż duchową co najmniej cztery uniwersytety obok siebie, a pokolowa rywalizacja wykaże, która niemiecka wszechmoc będzie swym światłem promieniowała najjaśniejsze na Wschód” („Die Burg”, 1944, zeszyt 3—4, str. 202).

Słowem: nieublagany polakożerca i słowianożerca. Delegowany jako pionier i prekursor naukowy podboju i zniszczenia, oddany swej pracy całą duszą. Na swym specjalnym odcinku żydowskim dr Sommerfeldt z zimną krwią uprawiał zainteresowania naukowe, historyczne, folklorystyczne i językoznawcze. W źródłowej — i gruntownej — pracy o przysłówach żydowskich dowodził, że anty-judaizm w Polsce ma dawne, rozległe podstawy. Innym razem, w recenzji P. H. Seraphima „Das Judentum im osteuropäischen Raum” pisał o społecznych i gospodarczych problemach des ehemaligen polnischen Staates, byłego państwa polskiego, że „z objęciem władzy przez narodowych socjalistów kwestia żydowska weszła w stadium bezkompromisowego i zasadniczego rozstrzygnięcia dla Reichu i obszarów, pozostających „unter seiner Machthohheit”, pod jego panowaniem. Tym esmizmem odpowiadało niszczenie fizyczne milionów ludzi w krematoriach i komorach gazowych. Niemiecki „uczony” wiedział o tym doskonale. Chwalcąc pracę Franza Beranka „Die jüdische Mundart Nordostungarns”, konstatował:

„W obliczu potężnych przewarstwowań i przebudowy, którym podlega żydostwo Europy w ogóle, a wschodnie w szczególności, zwłaszcza w ciągu obecnej wojny, wydaje się ujęcie i opis narzecza żydowskiego na pierwszy rzut oka zadaniem, służącym wyłącznie tylko konserwacji naukowej językowego zjawiska, którego po tej wojnie w Europie niewątpliwie już nie będzie” („die es nach diesem Kriege in Europa wohl nicht mehr geben wird”). Naukowcy przedstawiciele polspolitej zbrodni, uplanowanej i wykonywanej systematycznie.

WNIOSEK

obywa się bez jakichkolwiek formułowań. Można by jeszcze spojrzeć na zegar spraw: co działo się w roku 1942 na ziemiach polskich, w miastach i wsiach oraz w ghetach, gdy kilku-naszych uczonych dzieliło z Niemcem rozkosz kweryndy, kompletowania i interpretacji raz zagłębiało się wespół z nim w studia nad żydowskim folklorem.

Z życia muzycznego Krakowa

Po krótkiej przerwie, wypełnionej zresztą imprezami festiwalowymi o niezmierzonym doniosłym znaczeniu artystycznym, wznioło Biuro Koncertowe przy Związku Zawodowym Muzyków, zapoczątkowane w ubiegłym sezonie koncerty solowe i kameralne. W pierwszym z nich wystąpił Zbigniew Drzewiecki z programem złożonym z Beethovena, Chopina i szeregu kompozytorów XX wieku. Był to jeden z najpoważniejszych koncertów solowych, jakie słyszeliśmy w Krakowie w ostatnich miesiącach. Muzyk wysokiej miary, niezwyklej kultury i inteligencji, potrafi Drzewiecki zainteresować każdym swoim występem, jak mało który pianista. Jego wnikliwość i subtelność wobec każdego utworu, niezwykła czystość stylistyczna sprawiają, że nawet najbardziej znana kompozycja staje się w jego interpretacji interesującym problemem artystycznym. Tak było z Sonatą Beethovena d-moll, którą słyszeliśmy na koncertach wykonywaną tylorotnie: jej wewnętrzne rozdwojenie na klasyczny umiar ostatniej części i romantyczne rozwiezienie pierwszej, nigdy może nie uświadomiło nam się w takiej pełni, podobnie jak skupiona powaga szopenowskiego Nokturnu. A co najciekawsze — że te piękne koncepcje powstają dzięki postawie wykonawcy, którą można by określić jako maximum obiektywizmu, jako dążenie do ostatecznej prawdy artystycznej, reprezentowanej przez poszczególnych, tak różnych stylem, typem osobowości, charakterem epoki twórców.

Specjalnie bliska jest Drzewieckiemu muzyka XX wieku. W Polsce jest bez wątpienia od szeregu lat jej najbardziej powołany propagandem; opowiada jej formę, fakturę, specyficzny styl jej techniki fortepianowej. Preludia Debussy'ego, drobne utwory Prokofiewa, Mazurki Szymanowskiego i tanczne kompozycje Albeniza — to były arcydzieła sztuki wykonawczej. Każdy z nich znalazł się we właściwej sobie atmosferze emocjonalnej, we właściwym klimacie: ile ciszy i skupienia w „Katedrze” Debussy'ego, jak świetnie wyczuła groteskowość Prokofiewa, jak zrozumiała dla nas dzisiaj ten lekko zaznaczony dystans w stosunku do orgli hiszpańskich przebrzmiałego już Albeniza!

W sumie: wysoka klasa na miarę europejską. Oby stała się szkołą dla naszych młodych i najmłodszych pianistów wstępujących dziś w życie po sześciu latach artystycznego bezruchu w Polsce.

Stefania Łobaczewska

KORESPONDENCJA

PROŚBA O WIADOMOŚCI

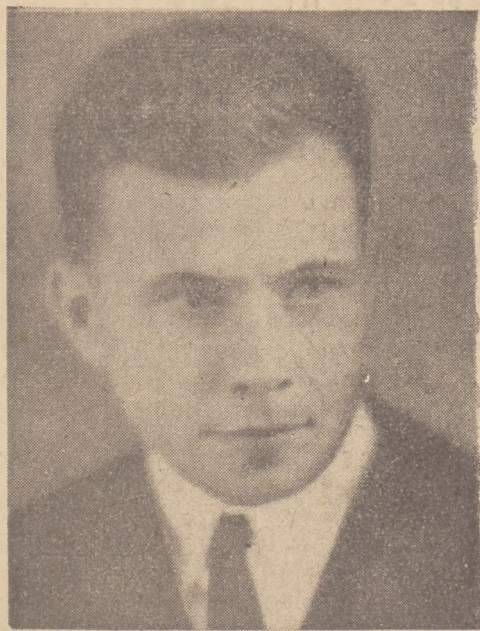
Do redaktora „Odrodzenia”

Wszystkich, którzy mają jakiegokolwiek wiadomości 1) o szczegółach śmierci Włodzimierza Pietrzaka w Warszawie podczas powstania; 2) o losach Halszki, łączniczki powstańczej placówki A. K. „Antonin” na Ochocie, która w dniach 8—10 sierpnia przebywała w domu przy ulicy Szujskiej 8, zabrana została na Zeleniak, potem do Pruszkowa i wywieziona do Rzeszy; 3) o losach Tomasza Korala, podchorążego z oddziałów partyzanckich A. K. lub grupy „U”, którego walczyły na terenie Prus Wschodnich — proszę o zawiadomienie mnie.

Jan Kott,
Łódź, redakcja „Kuznicy”,
Bandurskiego 96.

Jan Kott

Kronika ilustrowana STRATY KULTURY POLSKIEJ



TEODOR BUJNICKI
poeta



JULIUSZ KADEN-BANDROWSKI



ADOLF NOWACZYŃSKI



ROMAN PADLEWSKI
kompozytor

Przegląd teatralny

„OBCYM WSTĘP

Utwór Heleny Buczyńskiej „Obcym wstęp w zbroń” grany w małym teatryku przy ul. Marszałkowskiej 81 — jak dotąd jedynym teatrze lewobrzeżnej Warszawy — jest sceniczną próbą utrwalenia lat okupacji. Podtytuł prawdziwie charakteryzujący sztukę jako „reportaż sceniczny” z góry asekuruje przed nieuchronnymi i mocno uzasadnionymi zarzutami krytyki. Autorka umiejętnie fotografuje życie jednej z tak podówczas popularnych w Warszawie aktorów kawiarni. Poza fotografie nie wychodzi. Ukazane przeżycia bohaterów tego jednego gorącego dnia roku 1943, w którym dokonano ekspropriacji banku na Bielańskiej, były normalnymi, powszechnymi, lecz tylko powierzchownymi przeżyciami nas wszystkich. Ścisłość obserwacyjnego daru dodatkowo świadectwo wystawia fakt, iż wiernie zachowana została proporcja między poszczególnymi elementami życia okupacyjnego; między walką o byt a walką o Sprawę, między honorem a podłością, między lekkomyślną odwagą a naturalnym strachem i lękiem, między — i to najważniejsze — samorodnym, naturalnym patosem a humorem codziennych zdarzeń.

W reportażu scenicznym Buczyńskiej to przeciwstawienie patosu humorowi zostało słusznie wyróżnione. Przedstawienie owiane jest wesołością właściwą okupacji.

Patos był na ogół obcy życiu okupacyjnemu. Myślę oczywiście o patosie sztucznie tworzonym patosie słów i gestów; należy go odróżnić od patosu czynów. Przedstawienie sceniczne musi być bardzo oględne i czujne, by nie przerysować i nie strywalizować. W tym wypadku Buczyńska przeholowała i najprawdziwszą, piękną scenę odejścia matki Maryny, by przenieść „paczkę” przez kordon żandarmów, zepsuła nadmiarem świętych słów i macierzyńskich uścisków. Te sprawy odbywały się znacznie prościej.

Dla nas, którzyśmy lata wojny przeżyli w stolicy i przeżyli nader intensywnie — wiele innych fragmentów razi swą nienaturalnością i niewiarygodnością. W całości przedstawienia razi obraz czwar-

PRAPREMIERA W TORUNIU

Sztuką „S. O. S.” debiutował w Toruniu Tadeusz Henryk Kański; jest to ważne wydarzenie w kronice kulturalnej miasta i ziemi pomorskiej. Repertuar teatrów polskich powiększył się o jedną nową sztukę sceniczną, oryginalną, wartościową i głęboko społeczną.

Tadeusz Henryk Kański rozpoczął działalność literacką od słuchowisk radiowych. W roku 1936 przetłumaczył z włoskiego sztukę Cerio i De S. „Janiego „Kryk”, która wystawiona niemal na wszystkich scenach polskich. Następnie przełożył z włoskiego sztukę De Stefani „Szewc z Messyny”, napisaną na tle legendy z XVII wieku. Sztuka ta szczególnie spodobała się Stefanowi Jaraczowi, który chciał ją grać w 1940 roku, lecz wojna stanęła temu na przeszkodzie.

Sztuka Kańskiego „S. O. S.”, którą debiutował autor w dniu 20 września w Teatrze Ziemi Pomorskiej w Toruniu, napisana została w roku 1939 i sfilmowana. Rękopis zakupiła pewna angielska spółka wydawnicza w Londynie i sztuka została przetłumaczona na język angielski.

„S. O. S.” to utwór dramatyczny o zacięciu komediowym, w budowie swej, tematyce i przeprowadzeniu akcji — nowoczesny, realistyczny, daleki od przyjętych szablonów i konwenansów scenicznych.

Rzecz dzieje się w latarni morskiej, w kabine służbowej latarnika. Poprzez trzy akty (5 obrazów) nie zmienia się dekoracja sceny, a na cenie są tylko dwie osoby.

Sztuka do pewnego stopnia eksperymentalna, posiada tę niezaprzeczoną zaletę, że nie nuży widza, że umiejętnie stopniuje jego zainteresowanie i do ostatniej chwili intryguje go wątkiem dramatycznym.

Nowy numer „Kućnicy”

Nowy (4-5) numer „Kućnicy” spełnił wreszcie te nadzieje, jakie w tym piśmie i zespole je redagującym pokładaliśmy: ukazane zostały perspektywy kulturalne polskiej myśli postępowej. Nowa „Kućnica” jest wydarzeniem przede wszystkim z powodu ukazania po raz pierwszy całościowego (nie przez wyczerpanie problemów, lecz przez całościowe ich traktowanie) stosunku lewicy do zjawisk kultury oraz sposobu ich oceny i postulowania. Tym bardziej, że „Kućnica” miała wiele do odrobienia w tej dziedzinie po swoich pierwszych wystąpieniach, które wzbudziły niepokój przez minimalizm programowy oraz zatarcie tych szerokiej perspektywy rozwojowej, jakie marksizm przed kulturą stawia.

Zwężenie programu kulturalnego do zagadnienia stylu w literaturze, postawienie postulatu mimo wszystko formalnego, zamiast ukazania podstaw ideowych (jak było w numerze pierwszym) przyczyniło się do wytworzenia szkodliwych sugestii doktrynerstwa, jednostronności artystycznej oraz tendencji do utrzymania niskiego napięcia artystycznego, wynikających rzekomo ze stanowiska marksizmu z jednej strony, a z drugiej — sugestii podporządkowania sprawy kultury postulatowi jej upowszechnienia.

Numer 4-5 „Kućnicy” przynosi oczekiwane pogłębienie problemów i poszerzenie dróg do ich rozwiązania wiodących. Postawiona została centralna sprawa kultury: w jakim stopniu troska o upowszechnienie wartości artystycznych i naukowych ma kształtować przyszłe dzieła sztuki i wpłynąć na organizację życia umysłowego? czy wgląd na masowość ma formować lub ograniczać dyspozycje artystyczne twórcy? jak pogodzić ideę upowszechnienia kultury z koniecznością budowania jej w głąb?

A. B. Dobrowolski, Zofia Nalkowska i Stefan Żółkiewski wypowiedzieli na łamach „Kućnicy” prawdy podstawowe, tak z socjologicznego jak i artystycznego punktu widzenia; wypowiedzi te trzeba uważać za ramy ideologiczne programu kulturalnego polskiej lewicy.

St. Żółkiewski na konkretnym przykładzie niełatwej dostępności poezji Juliana Przybosi uwyraźnia sprawę dualizmu kulturalnych założeń marksizmu: upowszechniać wartości kultury i jednocześnie nie rezygnować z jej osiągnięć trudnych do upowszechnienia a często najwyższych. Dualizm ten nie istnieje w światopoglądzie kulturalnym nie marksistowskim, tak jak nie istnieje tam problem planowego upowszechniania kultury. Przedstawienie tego dualizmu, sama próba znalezienia słusznego powiązania sprzeczności jest już wskaźnikiem powagi, z jaką polska myśl postępową do sprawy kultury podchodzi. „Sprawy te muszą być rozwiązane łącznie. Obrona tylko poetyki Przybosi byłaby zdradą słusznej proletariackiej Ideologii Literackiej. Natomiast obrona poezji „dla mas” pojmowana jako obrona łatwizny retorycznej, tradycyjności byłaby tępym doktrynerstwem, niedostrzeżeniem tego, co jest rozstrzygającym faktem współczesności”.

Z. Nalkowska to samo zagadnienie rozpatruje z perspektywy przyszłości. Dualizm celów kulturalnych wynika z konieczności przystosowania się do stanu aktualnego, lecz z niego w dalszym ciągu nie wynika znów konieczność obniżenia poziomu artystycznego na przyszłość. Nie jest on warunkiem organizującym społecznie kulturę, by należało go traktować jako społeczny stały program kulturalny. Skrupowanie literatury postulatami stylu, przystępowości i pożytku społecznego, spopularyzowanie jej w sensie formalnym jest wynikiem przyjęcia postawy pesymizmu, do którego nie nie upoważnia. „Zreformowanie szkolnictwa — pisze Nalkowska — ma na celu to właśnie, by już pierwszej generacji robotnika i chłopu udostępnić naukę i literaturę w ogóle, nie specjalnie ad usum Delphini dla nich spreparowaną”. A przecież pisarze wywodzący się z ludu (w pierwszej generacji) są najlepszym przykładem („nie tylko dają nam wysokie gatunki prozy, ale i najbardziej awangardową poezję”) służności tych przewidywań.

Literatura popularna ma oczywiście ważną rolę społeczną do spełnienia, lecz, pisze dalej Nalkowska,

WZBRONIONY

ty, który niezrezygnie wiąże się z aktami poprzednimi. Losy bohaterów trzech pierwszych obrazów zbyt dobrze są znane widzowi, by takie „dziecinno-powieściowe” wyjaśnienie dalszych powojennych dziełow scenicznych postaci było konieczne. Ponadto nie wydaje się uzasadnione artystycznie ograniczenie dwóch Warszaw (okupacyjnej i tej obecnej) w ramach jednej sztuki.

Nietrudne postacie sztuki, fotograficznie wyraziste i fotograficznie płaskie — należyce naturalnie żywo i przekonująco odtworzył cały zespół, na którego czoło wybiła się Helena Gruszecka, jako Hielcia — „wybrakowana” aktorka, handlarzka walutami, wiecznie podchmielona, najprawdziwszy stop warszawskiego cwanactwa, pseudocynicznej postawy życiowej — ze swoistym patriotyzmem, może nie tyle polskim, co w każdym razie warszawskim. Stanisława Kamińska doskonale odtworzyła rolę matki. Na czoło męskiej części zespołu wybił się Mieczysław Milecki — wiernie odtwarzając typ konspiratora, któremu ziemia pali się pod nogami.

Ciekawsza od sztuki była jednak... widownia. Jej reakcja na utwór ilustrujący niedawne grozy i uśmiechy.

O ile fragmenty humorystyczne utworu znajdowały wśród widzów rezonans zamierzony i przychylony, o tyle momenty, które — przeżywane w niedawnym czasie, strachem paraliżowały naszą wolę, nerwy i uwagę napinały do granic ich wytrzymałości, — przyjęte zostały tym razem przez publiczność w sposób zgola nieoczekiwany. Gdy żandarmi niemieccy wpadali z rozpylacznymi na scenę, by w pokoiku aktorek, gdzie w szufladce jest ostatni „Buletyn” a w walizce pieniądze z ekspropriacji, zrobić rewizję, gdy katastrofa stoi u swego zenitu — widownia wybucha historycznym śmiechem.

Ten śmiech wydaje się groźnym memento dla współczesnego pisarza, czy potrafi on, już teraz starając się odtworzyć artystycznie grozę tamtych dni, — narzucić żyjącemu pokoleniu polskiemu zamierzoną przez się reakcję.

Kazimierz Koźniewski

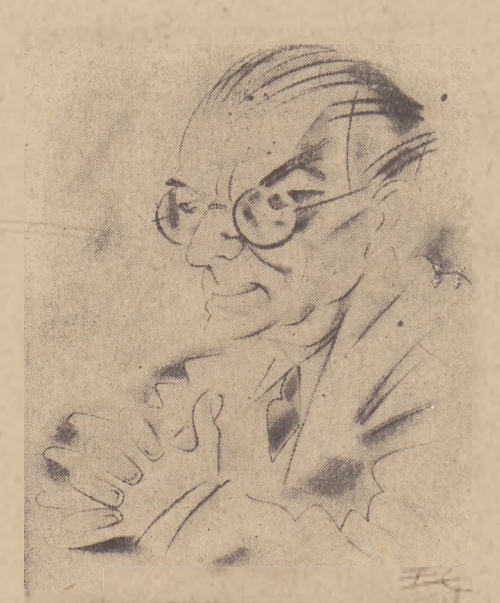
LITERACI NA ZJEŹDZIE



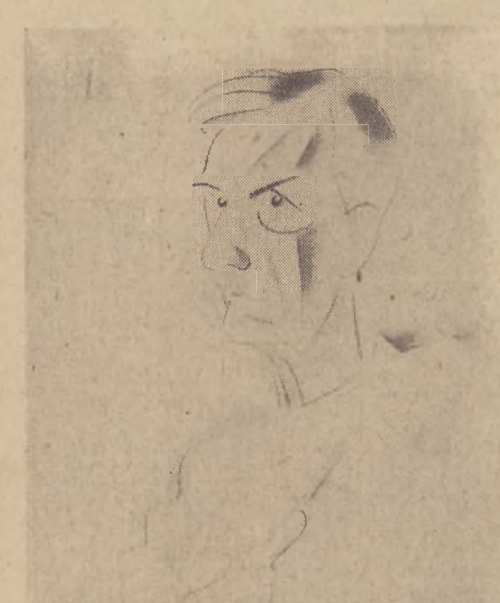
ZOFIA NALKOWSKA



WACŁAW BOROWY



KAZIMIERZ CZACHOWSKI



JAN NEPOMUCEN MILLER

rys. Edward Głowacki

„nie powinna wdziierać się na miejsce literatury (tout court) tam gdzie to jest społecznie szkodliwe, nie powinna zaprzeczać jej praw do rozwoju w kierunku form coraz doskonalszych i coraz innych, ani do włączania w zakres swej tematyki najtrudniejszych i najgłębszych zagadnień ludzkiej współzycia. Nie pozwolimy sobie wzmówić, że potrzeba bardziej złożonych wrażeń estetycznych i zdolność doznawania wzruszeń intelektualnych jest snobizmem lub antyspołecznym uroszczeniem. Dążenie do osiągnięcia najwyższych możliwości twórczych nie tylko jest najcenniejszym przywilejem pisarza. Jest ponadto jego elementarnym obowiązkiem... Jak w nauce badania podjęte w luksusowych celach poznania przyniosą nieraz nieoczekiwaną korzyść dożną... podobnie literatura dla niewyszukiwanych, zwana niezrozumiałą, nudną lub wariacką, przynosi niejednokrotnie pożytek w odmiennej skali lub dalszej perspektywie. Podejmując problemy, nie rozstrzeżone jeszcze w prasie codziennej, i dając im wyraz, najściślej przylegający do treści nie w cudzych gotowych kliszach, lecz w „wyszukanym” z trudem słowie nieraz nam się przydaje w tak dla nas kłopotliwym wysiłku międzynarodowej kultury”.

Perspektywy szczytowe rozwoju kultury w dziedzinie nauki, ich zbliżenie z doraźnymi celami społecznymi ukazuje A. B. Dobrowolski w artykule „Uniwersytety i instytucje naukowe jako szkoła badaczy naukowych, „czystych” i badaczy naukowych „praktycznych”. Cenna ta praca, projektująca nowy schemat organizacji nauki i oświaty wyższej, zawiera wiele stwierdzeń frapujących nowością i głębią. U podstaw twierdzeń A. B. Dobrowolskiego leży przekonanie, po raz pierwszy u nas sformułowane tak bezwzględnie, o przeżyciu się średniowiecznego, do dziś dnia trwającego typu uczelni wyższych, które nie służą w pełni ani nauce, ani idei popularyzacji nauki w społeczeństwie. A. B. Dobrowolski stawia problem wyodrębnienia organizacyjnego uczelni (instytutów) o charakterze badawczym i podziału całego wyższego szkolnictwa na dwa typy: naukowo-badawcze i praktyczne. Uniwersytety i instytucje naukowe w podziale takim „wyodrębniłyby się jako: 1) ogniska nauki i jej naukowego, twórczego stosowania, 2) skupienia wybitniejszych umysłów badawczych „czystych” zarówno jak z nastawieniem praktycznym, 3) szkoły naukowego badania „czystego” zarówno jak z nastawieniem praktycznym”. Uczelnie o charakterze praktycznym (np. umiejętności technicznej, prawniczej, medycznej i t.) nastawione byłyby wtedy na zaspokajanie doraźnych potrzeb społecznych, a przez oddanie swoich „górnych naukowych pięt” Instytutom i uniwersytetom poświęciłyby się specjalizacji zawodowej.

Wypowiedzi A. B. Dobrowolskiego, Z. Nalkowskiej i St. Żółkiewskiego posiadają ogromną dzisiaj doniosłość. Rozwiewają one te, pielęgnowane gdzieś niedługo z pieczołowitością złudzenia o nieprzydatności kulturalnej marksizmu, o jego stanowisku rzekomo zaciekającym i sprzeciwiającym się (w trosce o powszechność, dostępność i pożyteczność społeczną) rozwojowi kultury narodowej. Ukazują one odwagę postawienia problemów i wielkie ambicje kulturalne polskiej lewicy.

„Marksizm i wyrastająca zeń ideologia kulturalna ma dość szerokie horyzonty. Obóz polskiego postępu właśnie nie jest sekciarski ciasny, chociaż jest ideowo zwarty i konsekwentny. Obóz polskiej lewicy socjalistycznej potrafi wiązać ze sobą młodą inteligencję pisańca, nie broniąc jej poszukiwań artystycznych. Nie odetnie nigdy pisarzy od tego, co jest na naszym etapie historycznego rozwoju literatury technicznie przodujące. Ale też ideologia obozu socjalistycznego ma dość siły, aby urobić tę nową literaturę tak, iżby stała się bliska i wymowna dla każdego czytającego chłopca i robotnika. Wierzę w siłę twórczą ideologii lewicy polskiej, ideologii przodujących klas narodu” (St. Żółkiewski).

W tym samym numerze „Kućnicy”, jakby na udokumentowanie tej wiary, zamieszczone fragmenty pamiętników Ludwika Krzywickiego ukazują nam nurt polskiej myśli postępowej w jej najbardziej trudnym historycznie łózysku.

zb